

JENNY BRYANT

**Remedium
na ból serca**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Powodzenia, kochanie! Będzie nam brakowało twoich zielonych oczu! Wpadnij czasem nas odwiedzić!

Kate Frinton nie potrafiła zidentyfikować tego głosu, więc tylko uśmiechnęła się do grupki osób, która zebrała się przed przychodnią, by ją pożegnać.

- Wpadnę! - zapewniła, wiedząc, że jest mało prawdopodobne, by kiedykolwiek powróciła do tego miasteczka w środkowej Anglii.

Odjechała wreszcie, a znalazłszy się na autostradzie, skierowała w stronę Devon, starając się zapomnieć o udręce kilku ostatnich miesięcy. Kiedy wreszcie upora się z gniewem, który czai się nadal w jej duszy, będzie mogła żyć dalej. Wtedy zapomni o natrętnym pytaniu: „A co jeśli...?”

Zjechawszy z autostrady, skierowała się ku przyjemniejszym wiejskim drogom i w końcu przekroczyła granicę Dartmoor. Czyniąc to, doznała tego samego dreszczu podniecenia co w dzieciństwie, podczas wakacji na zachodzie kraju. Teraz, widząc wczesne oznaki wiosny, odrzuciła resztę wątpliwości, jakie żywiła w związku ze swą decyzją pracy w dwóch przychodniach usytuowanych na przeciwległych krańcach Lanbury, wsi, którą wszystkie foldery turystyczne opisywały jako malowniczą.

New Barling była nową przychodnią mającą obsługiwać nowe osiedle, nadal w budowie. Rowans leżało na dalekim skraju Lanbury - było to wiktoriańskie domostwo, gdzie mieszkał Maurice Gilmore, jej starszy wspólnik. Owdowiał i, jak mówił, zbliżał się do emerytury. Dom prowadziła mu gospodyni.

Oba ośrodki były niewielkie - w odróżnieniu od tego, który Kate właśnie opuściła. Teraz będzie mogła patrzeć na pacjentów jak na ludzi, a nie tylko jak na przypadki, myślała. Będzie też oddychać czystym powietrzem - tak różnym od przemysłowego smogu, w którym dotychczas egzystowała.

Devon zawsze kojarzył jej się z czymś magicznym. Odżyje tu, odzyska siły, i wtedy ten okropny obraz Davida przestanie ją nękać w snach.

Skrećiwszy wreszcie na drogę wiodącą przez wrzosowisko ku miasteczku, dostrzegła coś, co przypominało starożytny gład. Zastanowiło ją to - ten kamień powinien być jednym z większej liczby gładów z epoki lodowcowej, a nie stać tak osobno.

Ale kiedy podjechała bliżej, kształt nagle się poruszył. Uśmiechnęła się do siebie. Przed oczami ma nie stary gład, lecz człowieka!

Ubrany był w szarą kurtkę, o pierś oparł blok i wydawało się, że coś rysuje. Chwilami się pochylał, żeby przyjrzeć się czemuś w trawie.

Może jest artystą? Albo mierniczym? W każdym razie wydawał jej się jednym z najwyższych mężczyzn, jakich widziała w życiu. Był także dobrze zbudowany - na szerokich, a zarazem szczupłych barkach osadzona

była interesująca twarz okolona masą ciemnoblon d włosów. Wydał jej się niezwykle przystojny.

- Spokojnie, mała! - mruknęła do siebie.

Nie chciała takiego obrotu wydarzeń. Czy nie dostała porządnej nau czki? Czy nie obiecała sobie zająć się wyłącznie pacjentami, teraz, kiedy już uciekła przed koszmarem? Zerwanie związku z mężczyzną, który kiedyś wydawał jej się wcieleniem doskonałości, było najtrudniejszą rzeczą, jaką się zdobyła w życiu. Nie miała najmniejszego zamiaru ponownie przez to przechodzić.

A jednak nie powstrzymała się; zwolniła i stanęła, podjechawszy do nieznanego. Zanim się zastanowiła, co robi, spuściła szybę i zapytała go - całkiem niepotrzebnie - czy to właściwa droga do Lanbury.

Jego usta wygięły się ładnie w uśmiechu. Poczowała, że serce bije jej szybciej. Na litość boską, nie zachowuj się jak wariatka, upomniała się surowo. Nie była w stanie oderwać od niego wzroku.

- Tak, proszęjechać prosto - zabrzmiał miły, niski głos.

Umilkł nagle i zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Gdy patrzył na nią, jego uśmiech zgasł, a twarz przybrała smutny wyraz, jakby zagubiony. Potem jego oczy, najbardziej niebieskie, jakie dotychczas widziała, stały się niemal granatowe i spojrzały na nią z nagłą niechęcią.

Po chwili jednak chmura znikła, pozostało jedynie lekkie zmarszczenie brwi.

- Dziękuję za pomoc - odparła uprzejmie, nie mogąc jednak zapanować nad chłodnym brzmieniem swego głosu.

Odjechała zniechęcona, gotowa zapomnieć o tym incydencie. Pewnie i tak więcej nie zobaczy tego człowieka. Niech sobie pozostanie tajemniczym nieznanym, co ją to obchodzi!

Ale siedzący w niej duch przekory zaczął ją nękać. Uświadomiła sobie, że ma nadzieję jeszcze go spotkać.

Nakazując sobie, żeby się nie zachowywała jak dziecko, bo ma już przecież dwadzieścia siedem lat, wjechała na strome wzgórze, po czym zjechała w brukowaną kocimi łbami ulicę, gdzie zaczynała się wieś Lanbury. Tam zatrzymała się przed solidnym domem z kamienia i uśmiechnęła na myśl o ponownym spotkaniu z panią Marsden, swą pulchną i życzliwą gospodynią, która prosiła, żeby ją nazywać Tilly.

Tilly była pełna dobroci i przemiła. Od czasu śmierci męża mieszkała na parterze, a jej syn, Bert, przerobił górę domku na wygodne mieszkanie, które po umeblowaniu odnajmowała.

Gdy tylko się poznały, zaproponowała, że „będzie utrzymywać czystość i porządek u doktor Frinton”, za co Kate była jej ogromnie wdzięczna. Ale kiedy proponowała również, że będzie gotować, Kate podziękowała, starając się zrobić to taktownie i mając nadzieję, że gospodyni nie poczuje się urażona jej odmową. Tilly uśmiechnęła się wtedy, mówiąc, że rozumie jej potrzebę odcięcia się od ludzi. Od tej chwili Kate wiedziała, że będzie jej się tu dobrze mieszkało.

Wysiadła z samochodu i nacisnęła dzwonek przy drzwiach. Tilly powitała ją, jakby się znały od zawsze. Zaprosiła do swego mieszkania na parterze, usadziła

przy stole w saloniku i przyniosła dzbanek z herbatą i coś, co nazwała „grzmotem i błyskawicą”.

- Cóż to takiego? - zdumiała się Kate.

- Zaraz się pani przekona - mrugnęła tajemniczo Tilly.

Po chwili Kate rozkoszowała się smakiem ciasteczek z górą bitej śmietany, ociekających złocistym syropem. Dużo cholesterolu, pomyślała, ale niebo w gębie.

Rozmowa polegała wyłącznie na pytaniach Tilly dotyczących życia osobistego Kate, która z kolei starała się odpowiadać jak najogólniej. Zdała sobie jednak sprawę, że niewiele ze swego życia prywatnego zdoła ukryć. Tilly nie była plotkara, ale umiała słuchoać.

W rezultacie Kate opowiedziała jej o wielu sprawach, które przez lata zatrzymywała tylko dla siebie. Na przykład o rywalizacji między nią a trzema starszymi braćmi - również lekarzami - którzy są znanymi specjalistami. I o tym, jak wreszcie udało jej się pokonać poczucie niższości i odnaleźć się w świecie lekarskim. Zdołała jednak nie powiedzieć o swym życiu uczuciowym, choć Tilly zapytała ją wprost, czy jest zamężna, rozwiedziona czy zaręczona.

- Żadnych szans. Nie mam czasu - skłamała.

Nagle przed jej oczami pojawił się niepożądany obraz Davida Lawrence'a. Naprawdę wolałaby teraz nie zaprzętać sobie nim głowy. Rozpaczliwie próbowała odsunąć od siebie bolesne wspomnienie lekarza, który kiedyś ofiarował jej miłość. Nie chciała także myśleć o tym okresie, kiedy mieszkali razem, kiedy obiecał jej cały świat, a potem zostawił samą, przepełnioną bólem.

Wstała od stołu, podziękowała Tilly za podwieczorek i spytała, czy może się wprowadzić do siebie. Jej mieszkanie miało osobne wejście, z boku domu. Tilly przekręciła klucz w drzwiach i otworzyła je, ukazując wyłożone czerwonym chodnikiem schody na piętro.

- Mam iść z panią, skarbie? Czy chce pani, żeby mój syn wniósł pani bagaż?

- To bardzo miło z pani strony, ale poradzę sobie. Naprawdę. - Kate wzięła od gospodyni klucz. — Może wzięłaby pani najmniejszą walizkę, a ja się zajmę resztą? - dodała, widząc rozczarowanie Tilly.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz ulgi. Zaczekała u stóp schodów, aż Kate wyniesie wszystko z samochodu, po czym pomogła jej wnieść najcięższe rzeczy na podest pierwszego piętra.

Rozejrzawszy się wokół, Kate doznała nagle cudownego uczucia spokoju.

- Pani syn świetnie to wszystko urządził - powiedziała z uznaniem.

- Niech pani mu to powie przy okazji, ucieszy się. Spotka go pani, jak się pani wybierze po zakupy.

- Naprawdę?

- Jeśli jada pani mięso. Jest rzeźnikiem w New Barling. Mieszkają z żoną nad sklepem.

- Powiem mu także, że na pewno mi tu będzie bardzo dobrze, pani Marsden.

Twarz gospodyni rozpromieniła się w uśmiechu.

- Cieszę się, że będzie pani moją lokatorką - powiedziała ciepło. - Chyba już prosiłam, żeby pani mówiła

do mnie Tilly - dodała z błyskiem w niebieskich oczach. - Wszyscy mnie tak nazywają.

Kate zaczęła od ustawienia książek na półkach. Budując je, Bert Marsden nie pozostawił ani centymetra niewykorzystanej powierzchni. Kate była pełna podziwu dla jego umiejętności. Również w malutkiej łazien-ce wszystko było doskonale wymierzone i zabudowane.

Przeszła do kuchni i włożyła swoje skromne zapasy do szafy w ścianie. Kuchnia zawierała wszystko, czego może potrzebować samotnie mieszkająca kobieta: nową kuchenkę gazową, zlew z nierdzewnej stali, lodówkę. Otworzywszy ją, Kate znalazła mleko i masło, które najwidoczniej kupiła dla niej Tilly.

Przeszła do sypialni. Był to duży, jasny pokój z oknami wychodzącymi na ulicę. Stała w nim szafa, komoda i wygodne podwójne łóżko. Na stoliku obok łóżka zobaczyła telefon - to znaczy, że nie będzie musiała wstawać w nocy, kiedy będą do niej dzwonić.

W końcu udała się do saloniku na tyłach mieszkania. Był tu duży kominek z przenośnym grzejnikiem elektrycznym, na wypadek, gdyby nie miała ochoty palić drewnem czy węglem. Na umeblowanie wnętrza składała się kanapa, mały stolik i fotele, a całość robiła przytulne wrażenie. Za dużym oknem dostrzegła okolony murem ogród, gdzie pełno było roślin. Tu i ówdzie dostrzegła kępki żonkili, które miały wkrótce zakwitnąć.

W oddali widać było Dartmoor, wielkie połacie trawy i skaliste pagórki, które potrafiły nagle zniknąć we mgle. Widok był tak porywający, że postanowiła dokoń-

czyć rozpakowywania później, a teraz pójść na spacer po wrzosowisku, zanim zapadnie wieczór. Wzięła kurtkę, klucze, zbiegła po schodach i znalazła się na ulicy. Gdy szła, zerwał się lekki wiatr i wzburzył jej włosy. Po chwili dotarła do osiedla New Barling i przystanęła na chwilę, żeby na nie popatrzeć.

Między nowoczesnymi domami biegły alejki, na skraju zaś stał budynek, w którym mieściła się przychodnia. Tu będzie spędzać większość czasu, choć będzie także pracować w Rowans.

Obejrawszy New Barling, skręciła w stronę wrzosowiska i szła, nie zatrzymując się, dopóki nie poczuła pod stopami sprężystej trawy. Przystanawszy, by nasycić oczy widokiem nowego krajobrazu, próbowała sobie przypomnieć swych nowych kolegów, poznanych podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Ciekawe, jak się będzie z nimi pracowało.

Na razie nie przewidywała trudności. Może mieć jedynie kłopoty z Johnem Smithem, młodszym lekarzem, sprawiającym wrażenie dość przejętego sobą. Przypomniała sobie z uśmiechem, jak próbował z nią flirtować, ujmując jej ramię, kiedy Maurice Gilmore zaprosił ją na herbatę w pokoju lekarskim w Rowans.

Poznała także Sheilę Venables, wdowę w średnim wieku, która założyła lecznicę dla kobiet przy przychodni w New Barling i prowadziła ją z dużym sukcesem. Sprawiała wrażenie osoby komunikatywnej, podobnie jak pielęgniarki i recepcjonistki.

Jedyną niewiadomą stanowił Ben Alloway, który podczas jej spotkania z lekarzami był na urlopie. Miała

nadzieję, że będzie się im dobrze pracowało, nurtowały ją jednak niewyjaśnione wątpliwości. Kiedy Maurice Gilmore mówił o nieuchwytnym Benie, młody doktor Smith zrobił dziwną minę. Och, szybko ukrył ją pod płaszczykiem uśmiechu, naturalnie, ale Kate zdołała pojąć, że doktor Alloway może mieć trudny charakter.

Spostrzegła, że na niebie zbierają się pierwsze ciemne, wieczorne chmury i zdecydowała się zawrócić, zanim zabłądzi. Nagle zobaczyła, że człowiek, którego przedtem wzięła za prehistoryczny głaz, idzie szybko w jej kierunku. Nadal miał przy sobie blok, niósł go pod pachą. Z kieszeni na piersi jego kurtki wystawał pęk ołówków.

- Hop, hop! - zawołał.

Chciała odejść, lecz nagle poczuła, że nie może zrobić kroku, więc stała ze wzrokiem wbitym w mężczyznę.

- Znow się spotykamy! - zauważył przyjaznym głosem.

Musi być nietutejszy, pomyślała. Mówi jak wykształcony turysta.

- Tak - odparła. - Nie znaliśmy się wcześniej, prawda? - dodała. - Spotkaliśmy się po raz pierwszy dziś po południu.

- Tak. Dlaczego pani pyta?

- Bo tak dziwnie pan na mnie patrzył. Pomyślałam.

- Ach, to. Przepraszam, jeśli gapiłem się na panią. Zdarza mi się to, kiedy jestem pochłonięty pracą.

Ale to przecież nie wyjaśnia niechęci, jaką zobaczyła w jego oczach. Postanowiła nie myśleć o tym więcej.

- Dlaczego pan tak pędził w moją stronę?

Przez chwilę sprawiał wrażenie zaskoczonego; potem na jego twarzy pojawił się rozbawiony uśmiech.

- Och, proszę się nie obawiać. Jestem zupełnie nieszkodliwy. Chciałem tylko panią ostrzec przed trzęsawiskiem tu w pobliżu.

Wskazał na ciemniejszy pas ziemi, oznaczony białą tablicą.

- Po zachodzie słońca nie widać znaku.

- Nie widać też pańskich rysunków - odparła, nie wiedząc, czemu to mówi. - Przepraszam! Zwykle nie jestem wścibska, ale zastanawiałam się, czemu pan rysuje, skoro o tyle łatwiej byłoby posłużyć się aparatem fotograficznym. Czy jest pan artystą?

Gdy się uśmiechnął, w jego niebieskich oczach pojawiły się iskierki.

- Bywam artystą, a zajmuję się różnymi rzeczami. Interesują mnie dzikie kwiaty, których nie wolno zrywać, rosnące tutaj zioła. Jestem także po trosze pisarzem; teraz piszę książkę o ziołarstwie.

Była zaskoczona.

- I to jest pana praca? Zarabia pan w ten sposób na życie?

Zaśmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

- Och, nie. Chcę po prostu, żeby więcej wiedziano o leczniczych właściwościach, jakie kryją w sobie niektóre z naszych roślin. Ostrzegam także przed tymi, które są niebezpieczne. - Przyglądał jej się przez chwilę. - Moje zajęcie jest bardziej konwencjonalne. Jestem lekarzem.

Kate potrząsnęła głową ze zdumienia.

- Ja też - powiedziała.

- Jest pani tu na zasłużonym urlopie?

- Nie. Przyjechałam do pracy. W Lanbury.

Patrzył na nią zaskoczony.

- Więc to pani jest Kate Frinton - stwierdził.

- Tak.

Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

- Witam w Lanbury. Ben Alloway.

W chwilę później Kate poczuła na twarzy krople deszczu i zobaczyła, że Ben wsuwa swój blok rysunkowy pod połą kurtki. Poczuła, jak silna dłoń ujmie jej ramię.

- Co pan wyprawia? - zapytała, na próżno usiłując się uwolnić.

- Prowadzę panią do samochodu. Nie przypuszczam, żeby pani tu przyjechała swoim. I na pewno nie pani nie wie o tutejszej pogodzie. Jest prawie kwiecień - i deszcz, który powinien być łagodny, potrafi zamieć się w grad.

- Ale przynosi majowe kwiaty - powiedziała bez tchu; szedł tak szybko, że ledwie za nim nadażała.

- Nie tutaj. To miejsce, gdzie więźniowie z Dartmoor spotykają śmierć.

- Dokąd ma pan zamiar mnie zawieźć?

- Do Tilly Marsden, oczywiście. Powiedziano mi, że wynajmuje pani u niej mieszkanie. Bała się pani, że panią porwę?

- Oczywiście, że nie!

Dłoń, która silnie trzymała jej ramię, działała kojąco

i Kate nie chciała, żeby Ben ją cofnął. Gdy podeszli do starego bentleya, Ben wyjął spod kurtki blok i podał go jej—

- Proszę potrzymać. Nie chcę, żeby się pogniótł.

Wzięła sztywne kartki, usiłując powstrzymać nagłą chęć obejrzenia rysunków. Ben usiadł za kierownicą i włączył silnik, a potem spojrzał na nią z uśmiechem i powiedział:

- Proszę, może je pani obejrzeć. Szkice nie są wykończone, więc mogą wydawać się nieciekawe. Kiedy je trochę podkoloruję, będą lepsze.

- Ależ są cudowne! - zawołała, przeglądając je.

Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, bo wpatrywał się w nią i nie mogła odwrócić wzroku. Miała wrażenie, że rzucił na nią czar, i policzki paliły ją z zażenowania.

Kiedy podjechali pod drzwi wejściowe, ulewa przeszła w drobny wiosenny deszcz. Kate wysiadła i podziękowała Benowi.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - Czy miała już pani czas zrobić zakupy?

- Nie, ale jutro mam wolną sobotę. Doktor Gilmore oczekuje mnie dopiero w przyszłym tygodniu.

- A co z kolacją?

- Postanowiłam wyjść coś zjeść. Może mi pan polecić jakieś miejsce?

- Niech pani spróbuje „Pod Trzema Piórami”. Jest tam czysto i jak na pub dość spokojnie.

- Dziękuję. Chyba tak zrobię.

- Często tam jadam, więc może się zobaczymy

wcześniej, niż się pani spodziewa - powiedział na pożegnanie.

Poczuła coś w rodzaju paniki na myśl, że mogłby pojawić się w pubie.

Czuła także pustkę na myśl, że się nie pojawi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Minąwszy niewielką kawiarenkę przy końcu wsi, skierowała się w stronę pubu. Mieścił się on w bocznej uliczce obok rzędu niedużych domków z kamienia. Odświeżona prysznicem i ubrana w niebieską kaszmirową sukienkę i żakiet czuła, że może stawić czoło wszystkiemu i wszystkim. Lecz gdy zobaczyła wychodzących z pubu ludzi, zrozumiała, że zbyt się wystroiła.

Mężczyźni w większości byli w brudnych dżinsach i koszulkach i wyglądali, jakby tu przyszli prosto z pracy, a te kobiety, które im towarzyszyły, sprawiały wrażenie zbyt młodych, by w ogóle chodzić do pubu. Była jednak głodna, więc weszła do środka.

Ben Alloway określił pub jako cichy, słysząc więc hałaśliwą grupę przy barze, Kate stwierdziła, że jej kolega najwidoczniej musi być głuchy. Kiedy ją zauważono, rozmowy ucichły i poczuła, jak między nią a tymi ludźmi wznosi się niewidzialna bariera wrogości. Pomyślała, że Ben musi także być wariatem.

Po chwili rozległ się głośny męski głos, mówiący z silnym dewońskim akcentem:

- Dobry wieczór, panienko. Witamy. Czego pani sobie życzy?

Mężczyzna stał za barem. To pewnie właściciel, po-

myślała i uśmiechnęła się do niego. Jego twarz jednak ani drgnęła. Podeszła do niego zdecydowanym krokiem.

- Czy tu można coś zjeść?
- Można. Jest pani przejazdem?
- Nie. Mieszkam tu. Jestem lekarzem.

Gdyby oznajmiła, że wygrała główną nagrodę na loterii, nie zrobiłaby większego wrażenia. Jej rozmówca natychmiast się wyprostował i spojrział na nią z szacunkiem, uśmiechając się lekko.

- Ale heca! - odezwał się. - Słyszeliśmy, że przyjedzie nowy doktor, ale nie wiedzieliśmy, że prosto z Hollywood.

- Doprawdy? - Posłała mu zawodowy uśmiech, mając nadzieję, że wyda mu się przyjazny. - Może powinienam pana ostrzec, że lekarze na filmach nic nie wiedzą o chorobach. Lepszy jest prawdziwy lekarz. Proszę o tym pamiętać, gdyby się pan do mnie wybierał jako pacjent.

Barman przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. Zorientował się jednak, że Kate żartuje i wybuchnął śmiechem.

- Ma pani gadane! - oznajmił z podziwem - ale nie myślę, żeby do tego doszło. Moim lekarzem jest stary Gilmore z Rowans, a pani chyba będzie w New Barling.

- Nie przez cały czas. Zdaje się, że lekarze pracują w obu przychodniach, więc czasem będę też w Rowans.

- Ale głównie w New Barling?
- Prawdopodobnie.

- To wspaniale! - włączył się inny głos.

Należał do młodego człowieka stojącego przy drugim końcu baru, który wyglądał na robotnika. Uśmiechnął się wesoło do Kate i objął ramieniem szczupłą, bladą dziewczynę w cienkiej bluzeczce i džinsach, która sprawiała wrażenie, jakby świata poza nim nie widziała.

- Właśnie się pobraliśmy z Maisie. Przeprowadziliśmy się tu z Barnstable, ale jeszcze nie znaleźliśmy lekarza.

Maisie uśmiechnęła się tak miło, że Kate poczuła, jak jej serce topnieje. Dziewczyna przywodziła na myśl pełne ufności dziecko, a przy tym była tak szczupła, że Kate nie zdziwiłaby się, gdyby ją nagle porwał podmuch wiatru. Zastanawiała się, kiedy Maisie po raz ostatni coś jadła i czym karmi męża. O ile w ogóle cokolwiek gotuje.

- Może przyjąłaby nas pani jako pacjentów? - spytała nieśmiało dziewczyna. - Nazywamy się Maisie i Joe Brown.

Pierwsi pacjenci? Ghyba nie. Kate pamiętała ściśle przepisy w swym poprzednim miejscu pracy, gdzie ci, którzy pojawili się ostatni, nie mieli prawa wyboru.

- Zobaczymy - odparła. - Nie mogę obiecać, ale myślę, że możecie poprosić, żebym była waszą lekarką, kiedy będziecie się rejestrować.

- O kogo mamy prosić?

- Kate Frinton. A teraz przepraszam, muszę coś zjeść. Od przyjazdu do Devon nie miałam nic solidnego w ustach.

Właściciel pubu roześmiał się.

- Co by pani chciała na kolację? Nawiasem mówiąc, nazywam się George Dowling.

W kwadrans później Kate jadła rybę i frytki, które podała jej żona George'a, Helen. Jedząc, obserwowała grupę przy barze, znowu zajęłą głośną rozmową.

Co jakiś czas ktoś się odwracał, żeby na nią spojrzeć, ale teraz wszyscy sprawiali wrażenie przyjaznych. Jeśli zdoła równie łatwo zyskać sobie sympatię pacjentów, praca w Lanbury ułoży się dobrze.

W chwilę później drzwi się otworzyły i Kate podniosła wzrok, spodziewając się Bena Allowaya. Poczowała rozczarowanie na widok Johna Smitha.

- Dobry wieczór, doktorze - powitał go George z uśmiechem. - Szuka pan swojej koleżanki? Jest tutaj.

Ucieczka była niemożliwa i Kate starała się robić dobrą minę do złej gry, kiedy John podszedł z kuflem piwa do jej stolika.

- Mogę? - zapytał.

Miała ochotę go zignorować, nie chciała jednak być nieuprzejma na samym początku nowej pracy, więc skinęła głową.

- Proszę. Jesteśmy w wolnym kraju.

Spojrzał na nią spod oka, jakby odgadł jej prawdziwe uczucia, po czym usiadł naprzeciwko i uśmiechnął się lekko.

- Pomyślałem, że panią tu znajduję.

- A szukał mnie pan?

- Tak - przyznał. - Dzwoniłem do domu i Tilly Marsden powiedziała mi, że może pani być tutaj.

- O co chodzi?

- Och, to nic szczególnego. Chciałem porozmawiać o rozkładzie dyżurów.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Sądziła, że praca będzie ostatnią rzeczą, jaka mu przyjdzie do głowy, że w piątek wieczór będzie się bawił z jakąś dziewczyną.

- Ale ja jeszcze nie widziałam rozkładu. Doktor Gilmore zaproponował, że bym zczekała do poniedziałku. Jego też jeszcze nie widziałam!

- Tak, ale zanim się pani z nim zobaczy, powinienem pani coś powiedzieć. Ostrzec panią.

- O czym pan mówi?

Sprawił wrażenie zakłopotanego.

- Jeśli stary będzie traktował panią tak jak mnie, szybko się pani zorientuje, że jest pani pod obserwacją. Cały czas.

- Na to liczę! Każdy starszy wspólnik ma prawo sprawdzać, co robią inni lekarze, zwłaszcza jeśli są nowi. To jego obowiązek, prawda?

- Więc nie ma pani nic przeciwko pracy pod nadzorem policji?

- Niech pan nie będzie śmieszny! Już kilka lat pracuję jako lekarz i nigdy nie miałam wrażenia, że jestem pod nadzorem policji. Przeciwnie, zawsze z wdzięcznością przyjmowałam pomoc.

Spojrzała na niego i dostrzegła zmieszanie w jego oczach. Pomyślała, że jest dla niego zbyt surowa.

- Czy to jest pana pierwszy prawdziwy kontakt z praktyką lekarską? - zapytała.

- Niezupełnie. Po uzyskaniu kwalifikacji lekarza ogólnego praktykowałem przez rok w Berkshire.

- Tylko rok? Co się stało?

Odwrócił wzrok i kilkakrotnie nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Cóż... Odszedłem - rzekł powoli.

Zanim oskarżono go o zaniedbanie? A może o coś gorszego? Nie zależało jej na tym, by się dowiedzieć, ale poczuła przypływ sympatii do tego młodego człowieka, który wydawał się tak pewny siebie, kiedy go poznała, a teraz był zupełnie inny. Wyczuwała w nim desperację i nagle zapragnęła mu pomóc.

- Chce pan o tym pomówić? - zaproponowała.

- Może kiedyś... Na razie powiem tylko, że związałem się z dziewczyną i pewne osoby miały co do tego obiekcje.

- Z pacjentką?

- Och, nie. Nic w tym rodzaju.

Dzięki Bogu, pomyślała Kate. Zastanowiło ją, kto mógł w tych oświeconych czasach sprzeciwić się romansowi. Ale to nie moja sprawa, uznała w końcu i nabiła na widelec kawałek ryby, zdecydowana skończyć kolację, zanim wystygnie.

Drzwi otworzyły się ponownie i tym razem wszedł Ben. Z uśmiechem skierował się w jej stronę, lecz spoważniał, gdy zobaczył Johna Smitha.

- Nie wiedziałem, że się znacie - rzekł sztywno.

- Przepraszam, nie będę przeszkadzał.

Odwrócił się, żeby odejść.

- Doktor Smith właśnie wychodzi - oznajmiła Kate, patrząc na Johna surowo. - Prawda?

- Oczywiście.

Wstał i zostawiwszy piwo na stole, odszedł w stronę wyjścia.

- Wyjaśnijmy jedną sprawę, zanim zaczniemy razem pracować, dobrze? - zaproponowała Kate, gdy Ben usiadł. - Nie znam doktora Smitha ani on mnie. Spotkaliśmy się na mojej rozmowie kwalifikacyjnej.

Ben spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- To co on w takim razie tu robił?

- Może przyszedł na drinka? - Wskazała opróżniony do połowy kufel. - Może mi pan powie, dlaczego tak skwapliwie zgodził się wyjść, kiedy pan się pojawił? I co pan tu robi? Szukał mnie pan, prawda?

- Sprawia pani wrażenie zirytowanej.

- Doprawdy? Może i tak. Podobnie jak doktor Smith nie lubię, kiedy się mnie szpieguje.

- Tak pani powiedział?

Milczała przez chwilę, chcąc uniknąć bezsensownej gadaniny, szczególnie na temat kolegi. Spozstrzegła jednak niepokój w oczach Bena i zrozumiała, że to nie jest zdawkowe pytanie.

- Tak, mniej więcej.

- Przypuszczam, że także ostrzegł panią.

- No... tak, ale nie przejęłam się tym. Uważam, że lekarze powinni sobie pomagać i jeśli oznacza to przyglądanie się nowemu pracownikowi, to trudno.

Uśmiechnął się.

- Jest pani bardzo bezpośrednia.

- Mam nadzieję, że niejestem jednocześnie przykra. W jego ciemnoniebieskich oczach czaił się uśmiech.

- Ależ nie. Jestem pewien, że praca z panią będzie radością.

Zatonęła na chwilę w cieplej jego spojrzenia. Chciała tak trwać zawsze, jak w cudownym śnie.

Cudowne sny szybko się jednak kończą. Przy barze zrobiło się jakieś zamieszanie, wołano ją.

- Może oboje powinniście się nią zająć - powiedział barman. - To ta mała. Chyba zemdlała.

Ben natychmiast wybiegł do samochodu po torbę lekarską, a Kate podeszła do baru. Gdy ludzie się odsunęli, zobaczyła Joe'ego Browna, klęczącego obok skulonej na podłodze żony.

- Maisie, kochanie - mówił - obudź się! Na miłość boską, nie zasypiaj mi tu teraz!

Nazywa to snem, zdziwiła się Kate. Czy Maisie cierpi na jakieś zaburzenia, takie jak bezdech we śnie, przy którym oddech na chwilę zanika? Dla obserwatorów może to być przerażające, może także wskazywać na coś poważniejszego, jak na przykład zaburzenia w oddychaniu. Nie sądziła jednak, żeby to był przypadek Maisie, oddychającej zupełnie normalnie.

- Widzę, że pana żona zemdlała - zwróciła się do Joe'ego. - Czy zdarzało jej się to wcześniej?

- Dostyc często - odparł ochrypłym z lęku głosem.

Kate odpięła górny guzik bluzki Maisie i zbadała puls na jej szyi. Potem podniosła powieki dziewczyny, by spojrzeć na źrenice, ale nie dostrzegła niczego szczególnego. Delikatnie położyła Maisie na plecach. Jeden z mężczyzn zaproponował, by podłożyć jej pod głowę jego marynarkę, ale Kate odmówiła.

- Musi leżeć zupełnie płasko - oznajmiła.

- Ale skoro zemdląca, czy nie powinna siedzieć z głową spuszczoną między kolana? — spytała któraś z kobiet.

- Nie w dzisiejszych czasach - odparła Kate, starając się nie mówić wyniośle.

- Myślałam, że to najlepszy sposób, pani doktor - usłyszała inny głos. - Babcia zawsze mi mówiła...

Kate podniosła wzrok i zobaczyła dziewczynę równie młodą jak Maisie, wpatrującą się w nią z przerażeniem.

- Wiem, co robić, zaufajcie mi - rzekła z uśmiechem.

Dobrze się stało, że tu była, kiedy Maisie zemdląca. Zadrżała na myśl o tym, co ci ludzie wyprawialiby z dziewczyną, skoro ich wiedza na temat udzielania pierwszej pomocy opiera się na opowieściach starych babć.

- Potrzeba jej powietrza - dodała cicho i podniosła podbródek zemdlonej ku górze, żeby ułatwić oddychanie.

Choć Maisie Brown nie była w stanie utrzymać się na nogach, nie utraciła całkowicie przytomności. Zamrugała powiekami i odetchnęła głęboko.

- Proszę przynieść szklankę wody! - zawołała Kate.

Objęła dziewczynę ramieniem i lekko uniosła, podpierając własnym ciałem. Chude dłonie Maisie były lodowate, ale jej blade policzki lekko się zaróżowiły. George podał Kate szklankę wody. Maisie posłusznie wypijała kilka łyków.

Wreszcie pojawił się Ben, ukląkł przy Maisie i zbadał jej tętno, odmierzając czas na zegarku. Kate przyglądała mu się uważnie. Poczuła się lepiej, widząc, jak bardzo jest przejęty.

- Nie podoba mi się kolor jej skóry - powiedział cicho. - Czy moglibyśmy przenieść ją gdzieś, gdzie mógłbym ją dokładniej zbadać? - zwrócił się do George'a. - Bez publiczności, o ile to możliwe.

Kate spodziewała się, że zobaczy obrażone miny, ale tak się nie stało. Najwidoczniej mieszkańcy wioski naprawdę lubią swego lekarza.

- Nasz kochany doktor jest bardzo nieśmiały. Proszę o tym pamiętać, jak pani będzie z nim pracować - zwrócił się do Kate jeden z obecnych.

Uśmiechnęła się do niego. George poprowadził ją do pokoju na zapleczu i Ben ostrożnie wniósł tam Maisie. Joe szedł za nimi. Wydawał się trochę mniej przygnębiony.

Ben położył Maisie na kanapie.

- Waży tyle co piórko - szepnął do Kate. - Nigdy jej przedtem nie widziałem. Wie pani, kto jest jej lekarzem?

- Są tu z mężem od niedawna. Nazywają się John i Maisie Brown. Powiedzieli mi, że mieszkają w New Barling, ale jeszcze się nie zarejestrowali.

Gdy Joe usłyszał jej słowa, chrząknął nerwowo.

- Mielśmy nadzieję, że doktor Frinton nas przyjmie, ale pani doktor uważa, że mogą z tym być trudności - powiedział.

- Nie wiem jeszcze, czy tu obowiązuje rejonizacja - wyjaśniła Kate, widząc zdziwione spojrzenie Bena.

- Nie. Więc gdyby się pani zgodziła.

- Oczywiście.

- No widzi pan! - zwrócił się Ben do Johna. - To całkiem proste. Ale naturalnie, gdyby kiedyś wolał pan pójść do lekarza mężczyzny, jest nas trzech do wyboru.

W chwilę później, kiedy George taktownie powrócił do baru, Ben zaczął dokładnie osłuchiwać Maisie. Potem oddał słuchawki Kate.

- Płuca jak dzwon - stwierdziła.

Delikatnie zaróżowione policzki pacjentki ponownie zbladły. Kate zajrzała jej pod dolną powiekę - była bladoróżowa.

- Kiedy pana żona ostatni raz jadła? - zapytała męż-
czynę.

Młody człowiek zmieszał się.

- Nie wiem. Jestem murarzem, pracuję przy tych nowych domach, które budują obok osiedla. Cały dzień mnie nie ma. Biorę ze sobą kanapki.

- Czyjście coś razem, kiedy pan wraca do domu?

- Oczywiście. Zawsze jemy kolację.

- Porządny gorący posiłek?

- O tak, Maisie świetnie gotuje. Nauczyła się w szkole. Jej specjalność to gulasz.

- A dzisiaj?

- Jeszcze nie jedliśmy. Jest piątek, więc pomyśla-
łem, że najpierw zaproszę ją na drinka, ale zasiedzieli-
śmy się. Wie pani, jak to jest.

Wiedziała. Wiedziała także, że to nie wszystko, i po-
dejrzała, że kiedy Joe wybiegał rano ze swoimi ka-

napkami, Maisie zapominała o jedzeniu. Ale dlaczego? Dba o linię czy kryje się za tym coś innego?

- Myślę, Joe, że żonie przyda się żelazo w tabletkach, ale zanim je przepiszę, chciałabym, żeby zrobiła badanie krwi. Jak się to załatwia w przychodni? - zapytała Bena.

- Znosi się próbki do Mary Koliński, jednej z naszych pielęgniarek, i ona wysyła je do badania. Zajmie się wszystkim sama, jeśli jej pani powie, o jakie badania chodzi. Może w poniedziałek? Mary jest rano w New Barling. Będzie można od razu wysłać próbki kurierem do Plymouth albo do Exeter.

- Świetnie! Przy okazji zarejestruję Maisie. - Kate popatrzyła na Joe'ego. - Będzie się pan mógł zwolnić, żeby przywieźć żonę?

- Pewnie! - odparł bez przekonania. - Nie zdążyliśmy jeszcze kupić samochodu - dodał.

- Nie martw się, chłopcze - wtrącił Ben. - Podjadę po Maisie. Jeśli będzie trzeba, odwiozę ją do domu.

- Och, nie chcielibyśmy robić panu kłopotu. Kolega wozi mnie do pracy; może najpierw zawieźć Maisie do przychodni.

- A co z powrotem?

- To niedaleko. Ona lubi chodzić i będzie się już wtedy lepiej czuła, prawda?

- Mam nadzieję. Ale to dla mnie żaden kłopot.

- Nie, dziękuję, panie doktorze. Poradzimy sobie, naprawdę.

Więc Ben jest nie tylko przystojny, ale ma także dobre serce, pomyślała Kate. Była ciekawa, czy potrafi

zachować zimną krew, pracując z nim. Zniecierpliwiona własnymi myślami, powiedziała sobie surowo, że musi się wyzbyć tych śmiesznych uczuć. Zdawała sobie sprawę, że będzie to bardzo trudne, ale musi utrzymać stosunki z Benem na płaszczyźnie czysto zawodowej.

- Przyjechała pani samochodem? - usłyszała jego głos.

Zdołała się wreszcie otrząsnąć.

- Nie, przyszłam pieszo.

- Wy pewnie też? - spytał Maisie i Joe'ego.

- Tak, ale Maisie chyba nie czuje się na tyle dobrze, żeby wracać pieszo do domu. Będę musiał kogoś poprosić...

- Nie ma potrzeby, ja to zrobię. Niech coś zje i się wyśpi, dobrze? No to chodźmy.

Kate skierowała się w stronę baru, lecz Ben zawołał ją, pytając, co robi.

- Chciałam podziękować właścicielowi i zapłacić za kolację. Potem pójdę do domu.

- Niech pani podziękuje i zapłaci, ale pojedzie pani ze mną. W końcu Maisie Brown jest pani pacjentką, prawda?

Dom w nowym osiedlu był pogrążony w ciemnościach. W świetle latarni Kate spostrzegła, że ogródek od frontu nadal jest pełen gruzu pozostawionego tam przez murarzy. Nieszczególne powitanie dla młodej pary, pomyślała, mając nadzieję, że wewnątrz domu będzie mniej ponure.

Joe otworzył drzwi i Ben wszedł do środka, podtrzy-

mując Maisie. Przez niewielki hol przeszli do saloniku. Obok gazowego kominka stały dwa fotele, a przy ścianie dość zniszczona kanapa, na której leżał różowy koc. Tak jakby Maisie odpoczywała przed wyjściem do pubu, pomyślała Kate.

Rozejrzawszy się dokoła, stwierdziła, że w mieszkaniu jest niewiele mebli, a ono samo sprawia wrażenie biednego. Ben pomógł Maisie usiąść na kanapie.

- Mieszkanie jest wasze czy wynajęte? - zapytał, a Kate zauważyła, że Joe się zmieszał.

- Wynajęte - przyznał. - Ale mamy nadzieję kiedyś coś kupić. Jak odłożymy pieniądze.

Kate zapytała, czy może pójść do kuchni.

- Myślę, że kilka herbatników dobrze żonie zrobi - stwierdziła. - I coś gorącego do picia, herbata albo kawa. Czy mogę się tym zająć?

- Och, dzięki, pani doktor. Kuchnia jest w końcu korytarza.

W niewielkim pomieszczeniu Kate znalazła sporo szafek, ale było w nich niewiele do jedzenia. Jednak w metalowej puszcze odkryła trzy herbatniki, a w niemal pustej lodowce pół kartonu mleka i paczkę słodzonej czekolady w proszku, do której wystarczyło dolać gorącej wody. Nasypała proszku do kubka, dolała wody z elektrycznego czajnika i zamieszała energicznie. Położyła dwa herbatniki na talerzyku i zniosła wszystko do salonu.

- Proszę. - Postawiła talerzyk na poręczy kanapy i podała Maisie kubek. Spostrzegłszy, że zimne dłonie dziewczyny drżą, pomogła jej podnieść go do ust. - Po-

winna pani później napić się mleka - dodała. - Czy jest ktoś, kto mógłby zrobić zakupy?

Maisie patrzyła na nią zgaszonym wzrokiem.

- Dam sobie radę - szepnęła. - Niedaleko jest sklep.

Ale nie ma pieniędzy na zakupy, pomyślała Kate. Zastanawiała się, jak pomóc tej delikatnej dziewczynie, żeby jej nie urazić. Ben podjął temat o wiele taktowniej, niż ona potrafiłaby to zrobić.

- Płacą wam co tydzień, prawda? - zapytał. - W poniedziałki, żeby mieć pewność, że przyjdziecie do pracy?

- Tak. Szeft jest dziwny pod tym względem. Tam, gdzie pracowałem ostatnio, płacili nam w piątki.

- Więc może przyjmie pan ode mnie pieniądze na zakupy?

- O nie, nie ma mowy.

- W takim razie sam to zrobię.

- Ale...

W oczach Bena pojawiła się determinacja.

- Nie kłóć się ze mną, człowieku! Możecie mi oddać pieniądze, jak już się urządzą.

Uśmiechnął się w swój zniewalający sposób i Kate zobaczyła, że Joe zrezygnował z dalszych protestów.

- W porządku, doktorze, wygrał pan. Wszystko zwrócę, obiecuję - mówił, odprowadzając ich do drzwi.

- Nie ma pośpiechu, chłopcze. Nie umrę z głodu.

- Odkryła pani jeszcze coś poza anemią? - zwrócił się Ben do Kate, odwożąc ją do domu.

- Tak - przyznała. - Mam wrażenie, że nasza młoda mężatka już jest w ciąży.

Zaśmiał się cicho.

- Tylko kobieta potrafi to wyczuć!
- Niezupełnie. Kiedy pan ją osłuchiwał, zauważyłam charakterystyczną obwódkę wokół sutek.
- Doprawdy? Ja nic nie spostrzegłem.
- Był pan zajęty płucami.
- Które są zdrowe, dzięki Bogu.

Kiedy zatrzymali się przed domem Tilly, Kate zaprosiła Bena na kawę. Odmówił jednak, wyjaśniając, że spieszy się do domu. Spojrzała na niego pytająco, oczekując, że powie jej, gdzie mieszka. Kiedy to nie nastąpiło, nie była zaskoczona, uprzytomniła sobie bowiem, że nic nie wie ani o nim, ani o jego życiu prywatnym.

Stanowi dla niej zagadkę. Może być żonaty i mieć dorastające dzieci... Ta myśl niespodziewanie napełniła ją dziwnym smutkiem, toteż usiłowała odsunąć ją od siebie jak najdalej, gdy wchodziła do swego pustego mieszkania.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego ranka obudziła się wcześniej. Czuła się świeża i rześka mimo długiej jazdy do Devon poprzedniego dnia. Nawet troska o pierwszą pacjentkę nie zakłóciła jej snu. Była sobota, więc zdecydowała się na szybki prysznic i poranne zakupy. Może nawet zdąży wstąpić na kawę do tej kawiarni, którą widziała w drodze do pubu.

Musiała jednak zmienić plany. Kiedy skończyła się ubierać, zadzwonił telefon. Przekonana, że nikt jeszcze nie zna jej numeru, podniosła słuchawkę.

- Więc jak się pani dziś czuje? - spytał męski głos.

- To chyba pomyłka - odpowiedziała.

Jej rozmówca zaśmiał się cicho.

- Rozmawiam z doktor Frinton, prawda?

- Tak. Przepraszam, ale nie wiem...

- Wcale mnie to nie dziwi, moja droga. Ostatni raz rozmawialiśmy podczas pani rozmowy kwalifikacyjnej.

- Doktor Gilmore! - zawołała. - Przepraszam. Powinam była pana poznać.

- Nie widząc twarzy? - Zaśmiał się ponownie. - Często mi mówią, że moje zmarszczki nie pasują do głosu. Podobno brzmi młodo.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Czym mogę służyć? - zapytała wreszcie.

- Wiem, że nie powinienem zabierać pani wolnego czasu, ale zastanawiałem się, jak się pani tu podoba i czy nie zechciałaby pani podjechać do Rowans na filiżankę kawy.

Kate uśmiechnęła się. Był taki miły i staroświecki, że natychmiast wyobraziła go sobie w surducie i cylindrze, jak na sztychu przedstawiającym sławnego doktora Barnardo, który kiedyś widziała.

- Z przyjemnością. Kiedy?

- Uda się pani wpaść dzisiaj przed południem? Będziemy mogli omówić godziny pani pracy w przyszłym tygodniu i inne sprawy.

- Świetnie! Wobec tego do zobaczenia.

Tyle ze śniadania i zakupów, pomyślała, szcزتkując włosy i robiąc lekki makijaż. Ale nie ma rady. Może jeszcze jakiś sklep będzie otwarty po jej wizycie w Rowans - jeśli nie w Lanbury albo w nowym osiedlu, to może w sąsiedniej wsi.

Poszła do kuchni, wypła troche mleka, w które zapatrzyła ją Tilly, i włożyła kurtkę. Sprawdziła, czy ma klucze, zarzuciła torbę na ramię i zbiegła na dół. W chwile później jechała przez wieś. Pokonała kilka wzgórz okolonych wysokim żywopłotem i wreszcie dojechała do Rowans - dużego domu z cegły, którego mury były porośnięte pnączem.

Kiedy widziała go pierwszy raz, wyobrażała sobie, że to prywatny zamek Maurice'a Gilmore'a. Stanowił doskonałą siedzibę dla kogoś, kto wydawał się zarazem silny i delikatny. I bardzo ludzki. Po rozmowie z nim

wiedziała, że ma do czynienia z lekarzem, który w pacjentach nigdy nie przestał widzieć ludzi.

Drzwi otworzyła jej pani Penright, gospodyni w średnim wieku.

- Dzień dobry, pani doktor. - Na twarzy Sary Penright pojawił się cień uśmiechu, ale jej ciemne, piwne oczy patrzyły na Kate podejrzliwie, niczym na przybysza z Księżyca. - Doktor Gilmore jest na górze w salonie. Może zechce pani tam pójść, a ja przygotuję kawę.

Kate weszła na piętro. Gdy przystanęła na podeście, otworzyły się drzwi i jej starszy współnik wyszedł na korytarz. Uznała, że wygląda dystyngowanie w starannie wyprasowanych, szarych spodniach i granatowym swetrze z kaszmiru.

Żałowała, że nie ubrała się w sposób bardziej wyszukany. Jej kurtka nie pasowała do wytwornego wnętrza, nie mówiąc już o czarnych legginsach i krzykliwym, kolorowym swetrze.

- Więc zapamiętała pani, gdzie mieszkam?

Kiedy się uśmiechnął, Kate z trudem uświadomiła sobie, że zbliżał się do emerytury. U nikogo znajomego siwizna nie wyglądała tak młodzieńczo.

- Słyszę, że już pani zdobyła pierwszą pacjentkę!

- Skąd pan wie? - spytała zdumiona.

- Ben Alloway zadzwonił do mnie wczoraj późnym wieczorem. Powiedział mi, że się już poznaliście. Uważa, że świetnie pani sobie radzi.

- To bardzo uprzejmie z jego strony - zauważyła, starając się opanować wzruszenie.

- To nie jest uprzejmość. Ben nigdy nie mówi tego, czego nie myśli. Wkrótce się pani o tym przekona.

Weszła Sarah Penright i postawiła na stoliku tacę z kawą i ciasteczkami. Napełniła kawą porcelanowe filiżanki i wyszła, ponownie obrzucając Kate podejrzliwym spojrzeniem. Rozbawiło ją to.

- Czy ona zawsze tak patrzy na obcych? - spytała.

- Tak. Odkąd się tu zjawiała, uważa się za mojego osobistego ochroniarza, którego przecież wcale nie potrzebuję. - W zamyśleniu wypił kilka łyków kawy. - Może zajmiemy się ustaleniem pani obowiązków?

- Doskonale. Czy mam notować?

- Szkoda czasu. Kiedy wszystko wyjaśnię, dam pani teczkę do domu, do przestudiowania w wolnej chwili.

Kate opuściła Rowans ponad dwie godziny później, zaopatrzona w teczkę zawierającą listę pacjentów, informacje i notatkę na temat prowadzenia kart chorych. Sekretarki kopiowały je tak, żeby w każdej z dwóch przychodni było po jednym egzemplarzu. Pacjenci mogli dzięki temu chodzić do obu przychodni. Wiedziała, że przez większość czasu będzie pracować w New Barling z Sheilą Venables i Johnem Smithem, a tylko niekiedy w Rowans, którą prowadzili Maurice i Ben.

Obciążenie pracą było duże, ale jakoś dawano sobie radę. Obie przychodnie przyjmowały pacjentów rano i wieczorem. Sobotnie przedpołudnia były wolne i przeznaczone na nagłe wypadki, a wizyty domowe odbywały się zazwyczaj po południu. We środę wieczor-

rem Kate miała pomagać Sheili Venables w poradni dla kobiet, gdyby liczba pacjentek miała się okazać zbyt duża dla jednego lekarza.

Co do dyżurów nocnych, uważała, że jej się udało, bo uczestniczyła w nich także przychodnia w Little Mendington, oddalona od Lanbury o osiem kilometrów.

W Rowans odbywały się regularne spotkania pracowników, tak więc lekarze mieli możliwość przedyskutowania trudności, z jakimi się stykali. Wydawało się to dodatkowym obciążeniem, ale Kate była zadowolona. Dzięki temu wszyscy utrzymywali z sobą kontakt, ściśle współpracując jako zespół.

Dowiedziała się także, że przypadki wymagające operacji kierowano do Plymouth i Exeter, natomiast mniejsze zabiegi wykonywano w Much Willborough, gdzie nadal funkcjonował wiejski szpital.

Powróciwszy do domu, odłożyła dokumenty, wzięła dużą torbę i zbiegła na dół. Już miała ruszyć w stronę miasteczka, kiedy spostrzegła, że Tilly Marsden macha do niej przez okno.

- Woląta mnie pani? - spytała Kate.
- Idzie pani po zakupy?
- Tak. Czy coś pani potrzebuje?

Tilly podeszła do furki i oparła się o nią.

- Nie, dziękuję, skarbie. Chciałam pani powiedzieć coś o sklepach. Mamy tu tylko sklep z rybą i frytkami na wynos i jeden spożywczy na końcu głównej ulicy, ale w sobotę po południu jest zamknięty.

Kate spojrzała na zegarek. Po dwunastej.

- A jak jest w New Barling?

Tilly wzruszyła ramionami.

- Minimarket jest otwarty, ale mają tam mały wybór.

Poza tym jest tylko rzeźnik, mój Bert.

- A sklepy w Tanwyth? Zamykają je wcześniej?

- Nie, zdąży pani. Jest też gdzie zaparkować.

- W takim razie jadę do Tanwyth - zdecydowała Kate. - Chce się pani zabrać?

- Nie, dziękuję, czekam na Berta. Zawsze mi przynosi porządny befsztyk na niedzielę.

- W takim razie do zobaczenia później. Na pewno nic pani nie potrzeba?

- Gdyby pani przechodziła obok sklepu z prasą prośzę mi kupić pismo, którego tutaj nie można dostać. Nazywa się „Magia w Naszych Czasach”.

- Więc jest pani w tajemnicy sztukmistrzem? - uśmiechnęła się Kate.

Tilly zaczerwieniła się z zakłopotaniem.

- Niezupełnie. Chodzi o te wszystkie wibracje w ziemi. Bert mówi, że tylko wariaci się tym zajmują, ale mnie to naprawdę bawi, więc czemu mam z tego rezygnować?

Kate spojrzała nowymi oczami na tę na pozór zwyczajną kobietę:

- Ma pani na myśli uzdrowicielską moc kamieni i tym podobne? - spytała zdumiona.

- Tak, między innymi. Zapisałam się do klubu, którego członkowie urządzali spotkania w sali parafialnej, ale pastor się sprzeciwił. Powiedział, że to bezbożne, czy coś równie nonsensownego. Więc teraz zbieramy

się co tydzień u kogoś z nas. Chciałaby się pani do nas kiedyś przyłączyć?

Kate wyobraziła sobie, co by powiedzieli jej koledzy.

- Dzięki za zaproszenie, Tilly, ale myślę, że będę miała mało czasu, kiedy zacznę pracę.

- Pewnie tak. Ja tylko pomyślałam o tym, żeby pani poznała więcej ludzi.

Myśl o gospodyni zajmującej się tajemnicami ziemi bawiła Kate przez całą drogę do Tanwyth.

Znalazła miejsce na parkingu na skraju miasta, wzięła torbę na zakupy i ruszyła w stronę wzgórza, gdzie po obu stronach drogi były sklepy. Jako dziecko z rzadka bywała w Tanwyth, bo na wakacje jeździła do Exmouth, pamiętała jednak to dziwne i pełne uroku miasteczko.

Przeszła pod sklepionym łukiem, który wydawał się trzymać straż nad miastem, i przystanęła, by chłonąć jego atmosferę. Sceneria tego miejsca była zaskakująca; miała w sobie rodzaj szczególnego czaru. Tłumy ludzi robiących zakupy sprawiały wrażenie beztroskich. Wszyscy uśmiechali się i rozmawiali z sobą, choć zapewne nie znali połowy swych rozmówców. Wszyscy wyglądali tak, jakby mieli dużo czasu.

Kate zdała sobie sprawę, że wygląda na zagubioną, gdy wysoki mężczyzna w średnim wieku w sutannie i koloratce zapytał, czy może jej w czymś pomóc.

Ocknęła się i uśmiechnęła do niego.

- Nie, dziękuję. Robię zakupy. Gdzie jest ojca kościół? Chciałabym go zwiedzić.

Mężczyzna roześmiał się.

- Nie jestem duchownym - wyjaśnił, rozglądając się dokoła i gładząc złoty krzyż na piersi. - Po prostu się przebrałem. W piątki tutejsi mieszkańcy noszą czasem kostiumy. To stara tradycja.

- Ale dziś jest sobota! - zawołała.

Uśmiechnął się.

- Wiem, ale miło jest chodzić w stroju księdza. Ludzie człowieka szanują...

Kate odwzajemniła jego uśmiech, myśląc, że ktoś taki może się pojawić tylko w Tanwyth.

- Czy pana żona też się przebiera?

- Nigdy nie byłem żonaty - odparł z godnością.

- Mieszkam sam, w przyczepie. Naturalnie niektórzy uważają mnie za wariata, bo nie mam prawdziwego domu, ale proszę mi wierzyć, nie chciałbym żyć inaczej.

- Ciągnie ją pan samochodem, kiedy się pan przemieszczą?

- Samochodu też nigdy nie miałem. Ciągnął mnie koń, ale odkąd biedna Meg padła, nie ruszam się już z miejsca.

- Więc skoro nie jest pan pastorem, to co pan robi?

- Ostatnio niewiele, ale radzę sobie, więc nie martw się o mnie, dziewczyno!

Była nieco oszołomiona. Mężczyzna sprawiał wrażenie kulturalnego, wyrażał się jak człowiek wykształcony, a żył jak włóczęga, zadowolając się byle czym. Przypomniała sobie innych wykształconych ludzi, jakich spotkała, którzy także woleli taki styl życia.

- Jest pan Romem? - zapytała.

- Może. Dawno temu powiedziano mi, że babcia była Cyganką, ale jajej nie pamiętam.

Patrzył na nią uważnie; w jego ciemnych oczach mallował się podziw.

- A pani? Mieszka pani w okolicy?

- Jestem lekarką w New Barling.

- Ach tak? Ale heca! Więc jak mam się do pani zwracać? - spytał z zabawnym staroświeckim wdziękiem.

- Doktor Frinton, jeśli chce pan być uprzejmy.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, w jego cygańskich oczach lśnił zachwyt. Kate poczuła się nieswojo. Nagle, bez uprzedzenia, odwrócił się i odszedł.

Była jeszcze bardziej zaintrygowana, gdy niespodziewanie przystanął.

- Przepraszam.

Myślała, że ponownie się do niej zwraca, ale on cofnął się z szacunkiem, by przepuścić innego mężczyznę i zorientowała się, że to do niego mówił. Niespodziewanie stanęła twarzą w twarz z Benem Allowayem.

Znów poczuła przyspieszone bicie serca i starała się opanować narastające podniecenie. Była przerażona własną reakcją. Sam widok Bena wytrącał ją z równowagi. Jakbym była nastolatką, pomyślała ze złością.

- Dzień dobry! - powitał ją.

- Przyjechałam tu po zakupy - wykrztusiła.

- Widzę. Czy mogę oprowadzić panią po mieście, czy już je pani zna?

- Pamiętam trochę z dzieciństwa. Muszę kupić dużo jedzenia i coś do mieszkania, żeby je ożywić. Aha, i gazetę dla Tilly. Dokąd najlepiej pójść?

Patrzył na nią w milczeniu, zastanawiając się, dlaczego mówi tak nieskładnie. Przeklinał siebie w duchu za propozycję oprowadzenia jej po mieście. Co mu strze-
liło do głowy? Tego mu tylko brakuje, towarzyskich spotkań z tą kobietą! Powiedział to sobie, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

Ale to go nie powstrzymało przed pójściem do pubu, prawda? I nawet udawał przed sobą, że wcale jej nie szuka.

Kiedy ją zobaczył wczoraj z Johnem Smithem, chciał się go pozbyć i mieć ją tylko dla siebie - choć wiedział, że to ostatnia rzecz, której powinien pragnąć. Nie mógł sobie z tym uczuciem poradzić.

Wszystko się zmieniło, kiedy Maisie Brown zemdla-
ła. Praca z Kate wydała mu się tak naturalna i łatwa, że przestał się bać samego siebie. Teraz ogarnęła go złość, bo znów poczuł pokusę przekroczenia granicy.

Kate spostrzegła, że jest spięty, i nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie potrafi oderwać od niego wzroku. Zrozumiała, że Ben jest pogrążony w jakichś wspomnieniach, ale to, co widzi, nie jest przyjemne. Teraz na jego twarzy pojawił się przelotny smutek, jakby go coś nękało. Wreszcie czar prysnął.

- U stóp wzniesienia znajdzie pani supermarket - powiedział szorstko. - A przedtem jest kilka kiosków z prasą.

- Dzięki - odparła krótko i zirytowana jego obcesowością, odwróciła się, by odejść.

W chwilę później poczuła jego dłoń na ramieniu.

- Przepraszam, nie chciałem tak pani potraktować.

Tylko... myślałem o czym innym. Pozbędę się zakupów i pójdę z panią.

Dopiero teraz zauważyła, że trzyma w ręku wypełnioną torbę.

- Dziękuję - odparła sucho - ale nie chcę zabierać panu czasu.

- Proszę sekundę poczekać, zaraz wracam.

Wpadł do sklepu warzywnego i pojawił się bez torby.

- Znam ich i są przyzwyczajeni do pilnowania moich zakupów, kiedy mam coś lepszego do roboty. Jeśli jest pani do mnie podobna, na pewno uważa pani, że robienie zakupów w pojedynkę jest nudne.

Zakupy w pojedynkę? Więc on także mieszka sam?

Podobnie jak wtedy, kiedy zobaczyła go na wrzosiwisku po raz pierwszy, poczuła w nim tajemnicę, która zaintrygowała ją wbrew woli. Znowu pojawił się dreszcz podniecenia.

Ale przecież torbę miał ciężką, więc pewnie zrobił zakupy dla rodziny. Sprawiało jej to niemal fizyczny ból. Powiedziała sobie, że musi wziąć się w garść. Kiedy ujął jej ramię, powtarzała sobie, że jest tylko jej kolegą, i tak ma pozostać. Nigdy nie pozwoli mu wejść w tę bolesną przestrzeń, jaka w niej pozostała, kiedy Daniel Lawrence odszedł z jej życia.

Ben zaprowadził ją do niewielkiej kawiarni i nie słuchając jej protestów, zamówił jajecznicę, grzanki i dzbanek kawy.

- Dlaczego? - spytała, teraz już naprawdę zła.

- Jedno słówko, a ileż w nim wyrazu! - zauważył i uśmiechnął się do niej, wiedząc jednocześnie, że po-

winien zachować dystans. - Rozumiem, że zbyt swobodnie sobie poczynam?

- Coś w tym rodzaju. Skąd pan wie, że się nie umówiłam?

- Nie wiem. Miałem po prostu nadzieję, że będę przez chwilę miał panią dla siebie. Chciałem porozmawiać o Brownach.

- Ale ta kawa i jajecznic! Skąd pan wie, czy nie jestem najedzona?

Tym razem w jego uśmiechu pojawiła się przekora.

- Po prostu wiem - odparł spokojnie.

- Doprawdy?

- Tak. Sądząc z pani wyglądu, niejadła pani nawet śniadania. Mam rację?

- Piłam kawę i jadłam ciasteczka u doktora Gilmore'a.

- Ach tak, to rzeczywiście dużo. Proszę mi nie mówić, że nie zdoła pani zjeść niedużego lunchu.

Pojawiło się jedzenie i Kate poczuła głód. Nie czekając, aż Ben naleje kawę, zabrała się do jajecznicy.

Jedli w milczeniu.

- Kim był ten człowiek, który wpadł na pana? - zapytała po chwili.

- Ten niby ksiądz? To taki miejscowy ekscentryk, człowiek o wielu imionach. Niektórzy nazywają go Szalonym Colinem, inni Stukniętym Borysem. To mój pacjent, więc znam go jako Michaela Lee.

- To prawdziwie cygańskie nazwisko! Więc jest rzeczywiście Romem?

- Tak twierdzi, ale żyje sam. Jeśli należał do jakiegoś

plemienia, to dawno zniknęło. Niewiele się od niego można dowiedzieć, ale jest wykształcony. W młodości skończył studia na uniwersytecie w Exeter, ale od tego czasu nic nie robi. Twierdzi, że odpowiada mu życie bez zobowiązań.

- A skąd bierze pieniądze?

- Najwyraźniej ma ich dużo. Nie wiem skąd. Może pochodzi z bogatej rodziny?

Posiłek dobiegał końca. Gdy Kate zdołała utrzymać swe uczucia na wodzy, było jej miło w towarzystwie Bena. Rozmawiali na rozmaite tematy z taką łatwością, jaka zdarza się wśród starych przyjaciół. Jednak Ben ani razu nie wspomniał państwa Brownów.

Kiedy opuścili kawiarnię i poszli ulicą biegnącą w dół wzgórza, Kate zastanawiają się, czy Ben podejmie ten temat. Nie zrobił tego. Zaprowadził ją natomiast do dużego sklepu i powiedział, że zaczeka na nią na zewnątrz.

Oparł się o mur i patrzył, kiedy zniknęła w środku. Było w niej coś, co sprawiało, że ciągle myślał o Janice. Zastanawiał się, czy już do końca życia będą go dręczyły ból i poczucie winy. Wspomnienia nie chcą umierać.

Powinien przestać myśleć o Kate, przejść do porządku dziennego nad współczuciem i chęcią uwolnienia jej od smutku, który w niej instynktownie wyczuwał.

Gdy wyobrażał sobie przyszłość, widział w niej jedynie pracę. Musi sobie poradzić z podnieceniem, które ogarniało go, ilekroć Kate pojawiała się obok. To nie będzie łatwe, ale wiedział, że to jedyny sposób na zachowanie wewnętrznego spokoju.

Zobaczył, że Kate dochodzi do kasy. Jej wózek był

wypełniony po brzegi, kąciki ust unosiły się w uśmiechu. Starał się patrzeć na nią obojętnie, ale czuł, jak coś go do niej przyciąga, i zastanawiał się, czy kiedykolwiek się od tego uczucia uwolni.

- Co to jest? - zapytał, starając się, żeby zabrzmiało to nonszalancko, kiedy zaczęła przekładać do torby jedzenie, którego starczyłoby na miesiąc. - Spodziewa się pani gości? A może oblężenia?

Roześmiała się.

- Oczywiście, że nie! Ale nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym doznał olśnienia.

- Mogę zgadnąć? Czy część tego jest dla Brownów? Zaczerwieniła się.

- Prawdę mówiąc tak. Mam nadzieję, że nie poczują się zakłopotani.

Uśmiechnął się.

- A jak pani myśli, co jest w mojej torbie? Ja się też nie spodziewam oblężenia.

- To znaczy... ?

- Tak. Moja spiżarnia jest zaopatrywana w tygodniu przez gospodynię.

- Pana... gospodynię? - Była zaskoczona, lecz postanowiła o nic więcej nie pytać, bo nie chciała być wścibska.

Czy to jednak oznacza, że Ben nie ma żony?

Zapłacała za zakupy, a Ben pomógł jej je spakować. Spojrzała na niego, nie zdając sobie sprawy, że w jej oczach maluje się pytanie.

Jakby czytając w jej myślach, odezwał się:

- Mam gospodynię, bo jestem wdowcem. Większość ludzi wie o tym, ale nie chcę, żeby o tym mówiono. Jasne?

- Oczywiście - odparła. - To nie moja sprawa.

Kiedy szli z powrotem pod górę i Ben niósł jej zakupy, przypomniała sobie o magazynie dla Tilly. Zostawiła Bena na chodniku i weszła do sklepiku z prasą. Rozejrzała się w poszukiwaniu pisma, a nie znajdując go, podeszła do lady.

Sprzedawca spojrział na nią dziwnie, po czym zanurkował pod kontuar. Kiedy podał jej gazetę, spostrzegła stojącego obok siebie Bena.

Zerkał na nią ze zdziwieniem, kiedy płaciła za magazyn, więc złożyła go w pół, bezskutecznie usiłując ukryć tytuł, i zaczerwieniła się, jakby została przyłapana na kupowaniu pornografii.

- No, no! - mruknął Ben, gdy wyszli na ulicę. - Więc to tym się pani zajmuje?

- To dla Tilly Marsden - wyjaśniła pośpiesznie.

- Jaka szkoda! A już myślałem, że spotkałem kogoś, kto ma równie dziwne hobby jak ja.

- Pisanie o ziołarstwie? Ale to nie jest tylko hobby, prawda? To medycyna alternatywna. Może nawet homeopatia?

- Może. W naszych czasach homeopatia została już uznana. Istnieje przecież Londyński Królewski Szpital Homeopatyczny. Znajomy lekarz badał ich metody. Okazały się całkiem pomocne.

Podeszli do samochodu Kate. Patrząc, jak Ben układa

jej zakupy w bagażniku, myślała, jak wiele ma zainteresowań. Gdyby każdy lekarz był równie otwarty, świat medycyny byłby lepszy.

- Tam jest mój samochód - powiedział, wskazując grupę drzew. - Pojedziemy do Brownów i zawieziemy im to, co dla nich kupiliśmy?

- Doskonale! Do zobaczenia na miejscu.

Zaśmiała się cicho.

- Pomyślą, że w tym roku gwiazdka przyszła wcześniej!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Podczas tego weekendu Kate ostatni raz widziała Bena, kiedy odjeżdżał z New Barling w stronę Rowans. Nie miała pojęcia, gdzie mieszka, ale przypuszczała, że dom, który dzieli z mityczną gospodynią, leży w tamtych stronach.

Kiedy wręczyli Maisie zakupy i Ben odjechał, Kate pozostała przez chwilę na ganku, starając się uspokoić dziewczynę i przekonać ją, że to, co dla niej zrobili, jest drobnostką.

- I naprawdę nie musi nam pani oddawać pieniędzy - dodała. - Proszę to potraktować jako prezent na nowe mieszkanie.

Nie uzgodniła tego z Benem, lecz była przekonana, że gdyby tu był, poparłby ją.

- Jacy jesteście dobrzy! Nigdy nie spotkałam takich lekarzy. Tam, gdzie mieszkałam, nic ich nie obchodziło.

- Jestem przekonana, że to nie tak - rzekła Kate łagodnie. - Większość lekarzy jest strasznie zapracowana, ale to nie znaczy, że nic ich nie obchodzi.

Maisie patrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Może. Ale powiem pani, że naprawdę się cieszę,

że będę na liście pani pacjentów. Przyjdę do pani już niedługo!

W poniedziałek, zanim Kate zaczęła pracę, w New Barling pojawił się Maurice Gilmore.

- Chciałem się upewnić, że wszystko w porządku - oznajmił z uśmiechem, który zgasł, kiedy się okazało, że Johna Smitha nie majeszczce w przychodni. Mruknąwszy, że na pewno zaraz się zjawi, dodał, że Sheila Venables pracuje tego popołudnia w Rowans razem z Benem Allowayem.

Kiedy wyszedł, Kate odbyła krótką rozmowę z recepcjonistką i z Mary Koliński, pielęgniarką, która pracowała w obu przychodniach na zmianę z Penny Armstrong.

- Myślę, że Maisie Brown zarejestruje się dzisiaj jako nowa pacjentka - poinformowała Kate obie młode kobiety - więc proszę, zajmijcie się nią. Trzeba jej będzie zbadać krew. Czy mogę wypełnić skierowanie?

- Proszę. - Mary podała jej niewielki druk.

- A ja przygotuję formularz do rejestracji - dodała recepcjonistka.

Kate podziękowała im z uśmiechem i poszła do swego gabinetu. Znalazła w nim duże biurko z szufladami wypełnionymi bloczkami recept i ulotkami na temat rozmaitych chorób. Był tam także komputer, taki sam jak ten, którym posługiwała się w poprzednim miejscu pracy.

Widziała już przedtem ten pokój, tuż po rozmowie kwalifikacyjnej, ale nie przyjrzała mu się wtedy dokładnie. Teraz, siedząc za biurkiem, rozglądała się wokół

z aprobatą. Na podłodze leżał czerwony dywan, a w pomieszczeniu znajdowało się jeszcze kilka krzeseł, zamknięta szafka na leki, umywalka z mydłem i ręcznikiem i kozetka do badania chorych, którą można było zasłonić parawanem.

Pokój był jasny i przestronny, z dużym oknem. Żaluzje pozwalały widzieć, co dzieje się na zewnątrz, nie będąc samemu widzianym.

Włączywszy komputer, usłyszała pukanie do drzwi. Stała w nich recepcjonistka.

- Przepraszam, pani doktor! Zapomniałam je przynieść - powiedziała, podając Kate karty pacjentów.

- Dzięki. Dzieli pani obowiązki z kimś z Rowans, prawda?

- Tak. Jest nas dwie. Obsługujemy także telefon.

- Więc pani jest June Cranworth, czy tą drugą? Podczas rozmowy poznałam tyle osób, że jeszcze mi się mylą.

- Tak, jestem June Cranworth, a Betty Green pracuje dzisiaj w Rowans. Ale nie pomyli nas pani, bo ona jest piękna! Ma długie jasne włosy, zielone oczy, i w ogóle.

- Pani też się nieźle prezentuje! Czy krótkie ciemne włosy i piwne oczy są gorsze? A nogi to ma pani po pachy.

June roześmiała się.

- Ma pani fajne poczucie humoru! Widzę, że dobrze będzie się nam pracowało.

Wyszła roześmiana, a Kate pośpiesznie przejrzała karty, po czym poprosiła pierwszego pacjenta.

Liz Burrows była młodą mężatką i sprawiała wrażenie spiętej i nerwowej. Okazała się również niekomunikatywna i po chwili Kate wpadła w rozpacz.

- Proszę mi powiedzieć, jak mam pani pomóc - poprosiła, nie doczekawszy się odpowiedzi na żadne ze swych pytań. - Boję się, że nie zdołam nic zrobić, jeśli nie będzie pani ze mną rozmawiać.

Twarz kobiety poczerwieniała nagle z gniewu.

- Wszyscy jesteście tacy sami! - rzuciła agresywnie. - Zachowujecie się jak Bóg wszechmogący! Co wy wiecie o zwyczajnych ludziach?

- Ma pani na myśli kogoś szczególnego? - zapytała Kate spokojnie.

- Nie. Wszystkich lekarzy. Mądrale, jeden w drugiego! Myślałam, że przynajmniej pani będzie inna.

Kate zadrżała ponownie do karty i zobaczyła, że pacjentkę widzieli już Sheila Venables i John Smith i że zasugerowano jej leczenie psychiatryczne. Nie zastosowano go jednak.

- Widzę, że jest pani pacjentką doktora Smitha. Sekretarka skierowała panią do mnie. Czy życzyła pani sobie tego?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Pomyślałam, że spróbuję. To nie jest niezgodne z prawem, prawda? Pracujecie przecież w zespole.

- Oczywiście. Chcę pani pomóc, ale, jak już mówiłam, niewiele będę mogła zrobić, jeśli mi pani nic o sobie nie powie.

Kobieta patrzyła na nią wyzywająco, po czym zamknęła się w sobie i siedziała, metodycznie wyłamując

palce. Wreszcie splotła dłonie na podołku, a w chwilę potem podniosła wysoko głowę i Kate spostrzegła nieznaczne zgrubienie na jej szyi. Pacjentka nie widzącym wzrokiem patrzyła w okno.

Spotykała się już z tego rodzaju zachowaniem. Cechuje ono głównie nastolatków - gwałtowne zmiany w organizmie powodują zakłócenie równowagi emocjonalnej. Widziała też kilka dorosłych osób z podobnymi objawami - były to przypadki choroby psychicznej.

Czuła jednak instynktownie, że problem pani Burrows jest sprawą nie duszy, lecz ciała. Chciała uzyskać pełniejszy obraz - dowiedzieć się, czy agresja i nagła bledość, która pojawiła się w miejsce rumieńców, to oznaki choroby, czy skutki jakiejś tragedii w życiu pacjentki.

- Czy miała pani ostatnio jakieś kłopoty emocjonalne? - zapytała.

- A jeśli nawet, to co? Co to ma do rzeczy?

- Może nic, ale czasem może też powodować obecne napięcie.

Kobieta nagle wstała.

- To nie jest napięcie! - krzyknęła, pochylając się nad biurkiem i wpatrując w Kate wyłupiastymi oczami.

- Po prostu szlag mnie trafia, jak was widzę! Faszercie mnie pigułkami, które nic nie dają. Uśmiechacie się, tak jak pani teraz, a w gruncie rzeczy gardzicie mną!

Obawiając się, że pacjentka się na nią rzuci, Kate przesunęła dłoń w kierunku dzwonka ukrytego pod biurkiem.

Ale stało się coś nieoczekiwanego: kobieta ponownie

usiadła, skuliła się w sobie, a potem położyła ramiona na biurku, ukryła w nich twarz i głośno się rozpłakała. Jej ciałem wstrząsały konwulsje.

Kate wzięła kilka chusteczek, podeszła do pacjentki, przyklękła obok, objęła ją i wytarła jej oczy.

- No już, już - szepnęła tak, jakby się starała uciszyć dzieckoy - Proszę chwilę posiedzieć, a ja się postaram o filiżankę herbaty.

W tej samej chwili rozległo się pukanie i do gabinetu weszła zaniepokojona Mary Koliński.

- Usłyszałam hałas. Czy coś jest nie w porządku?

- Nie, ale dziękuję, że pani przyszła. Czy nasza pacjentka mogłaby tu gdzieś spokojnie posiedzieć i dostać filiżankę herbaty?

- Oczywiście. Mój pokój jest pusty i może tam wejść. Proszę się nie martwić, zaopiekuję się nią i zadzwonię, jak będzie gotowa wrócić do pani.

Pielęgniarka pomogła pani Burrows wstać. Kate zauważyła, że pacjentka trochę się odprężyła. Usłyszała, jak Mary mówi do niej:

- Pani Liz Burrows, prawda? Poznałyśmy się kiedyś. Na przyjęciu gwiazdkowym, pamięta pani?

Kiedy wyszły, Kate ponownie przejrzała dokumenty, skupiając szczególną uwagę na przepisywanych kobiecie lekach. Leczone ją na rozmaite przypadłości, od objawów grypy do uporczywych przeziębień oraz licznych bólów i niedomagań, z których nie wynikała żadna diagnoza. Przepisywano jej mnóstwo tabletek, także środki antydepresyjne. Końcowe zdanie brzmiało: „Kupić dobry lek tonizujący w aptece”.

Zauważyła, że ten zapisek pochodzi od Johna Smitha i zastanawiała się, jak ośmielił się zanotować tak niesprecyzowaną sugestię. Przecież to metody z czasów króla Ćwieczka! Czyżby John uznał pacjentkę za tak nieznośną, że zdecydował się jej pozbyć?

To jednak nie wystarcza. Liz może być symulantką, ale może też nią nie być. Kate pomyślała, że na następnym zebraniu porozmawia o tym z Maurice'em Gilmore'em. Była szczerze zdecydowana dotrzeć do sedna problemu.

Teraz postanowiła wyjść z gabinetu, żeby zobaczyć, jak kobieta się czuje. Okazało się, że pani Burrows uciekła.

- Próbowałam ją zatrzymać - tłumaczyła się przejęta Mary. - Chyba rzeczywiście nie cierpi lekarzy.

- Jeszcze jak! Widzę z jej karty, że odwiedziła sporo moich kolegów, ale żaden jej się nie spodobał. Nie mam pojęcia, dlaczego przyszła dzisiaj do mnie.

- To proste - odparła Mary, uśmiechając się smętnie.

- Uznała, że jest okazja poużalać się komuś nowemu.

- No cóż, przynajmniej zyskała filiżankę herbaty.

- A propos herbaty... Kiedy spytałam, czy dolać jej mleka, powiedziała, że nie znosi mleka, po czym spokojnie wylała herbatę do zlewu i tyle ją widziałam.

Chęć zwrócenia na siebie uwagi czy coś poważniejszego? Kate nie wiedziała tego i była na siebie porządnie zła. Jej pierwsza pacjentka - a ona nie umie postawić diagnozy! Może z Maisie Brown pójdzie lepiej.

Ale i tu spotkało ją rozczarowanie. W recepcji okazało się, że dziewczyna nie pojawiła się „z samego

rana", tak jak obiecywała. Ani June, ani Mary jej nie widziały.

- Szkoda! - westchnęła Kate. - Powinna koniecznie zrobić badanie krwi.

- Czy to pilne? - zapytała Mary.

- Dosyć, ale może poczekać do jutra. Zajrzę do niej po południu. Mogę wziąć z sobą formularze do zarejestrowania czy upieracie się, żeby to robił sekretariat?

- Ani trochę. Przysłać następnego pacjenta?

- Proszę. Tylko za chwilę, niech odetchnę.

Poranek minął na osłuchiwaniu klatek piersiowych i doradzaniu młodym matkom, jaki syrop na kaszel kupić w aptece. Kate spodziewała się przeziębień, bo była wczesna wiosna, ale nie aż tylu. Zbadawszy kilkoro dzieci, którym nie dolegało nic prócz kataru, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie chcą się wykręcić od szkoły.

Ale zmieniła zdanie, kiedy zbadała kolejnego chłopca i usłyszała jego ostry, suchy kaszel.

Pięcioletni Charlie Webb miał wypieki i nie czuł się dobrze. Jego puls był przyspieszony, więc Kate wsunęła mu termometr pod obłożony, niezdrowo wyglądający język.

W ustach dziecka, po wewnętrznej stronie policzków, dostrzegła drobne białe plamki. Oczy chłopca były lekko zaczerwienione. Kate uniosła jego koszulę i zobaczyła początki wysypki.

- Tak też myślałam - mruknęła do siebie. - Niech pani idzie wprost do domu - zwróciła się do matki - i położy tego młodego człowieka do łóżka. Proszę go

trzymać w cieple, z dala od ostrego światła. Niech dużo pije i śpi ile chce.

Wyjęła termometr i stwierdziła podwyższoną temperaturę.

- Proszę mu dawać nieduże dawki aspiryny dla dzieci - dodała.

- Ale co mu jest?

- Boję się, że to odra.

Kobieta sprawiała wrażenie zdumionej.

- Odra? Ależ zaszczepiłam go, jak był mały! Jest pani pewna? Tego bym się zupełnie nie spodziewała!

- Chyba się nie mylę - odparła cierpliwie Kate. - Ale jeśli chce pani jeszcze jednej opinii, mogę poprosić doktora Smitha, żeby spojrzął na małego.

- Och nie, pani doktor, ufam pani. Tylko to takie dziwne, bo był szczepiony.

- Szczepienie nie daje pełnej gwarancji ochrony przed chorobą. Wirus przyzwyczaja się do szczepionki i walczy z nią. Ale ponieważ Charlie był szczepiony, może przejść chorobę bardzo lekko. Jednak nie powinien się kontaktować z dziećmi, dopóki nie wyzdrowieje. Szczególnie z małymi. Czy w domu są inne dzieci?

- Tylko Charlie. Próbowaliśmy mieć więcej, ale się nie udało. A teraz jest już za późno.

Kate trudno było w to uwierzyć. Według danych o pacjentach pani Webb miała trzydzieści pięć lat.

- Nie jest za późno - zauważyła. - Jeśli chce pani o tym porozmawiać, w środę proszę wstąpić do poradni dla kobiet.

Pani Webb uśmiechnęła się smutnie.

- Pewnie nie miała pani jeszcze czasu, żeby przeczytać moją dokumentację?

Kate potrząsnęła głową.

- W takim razie nie wie pani, że przeszłam histerekto-
ktomię.

- Z jakiego powodu?

- Ciężkich krwawień. Miesiąc w miesiąc. Bardzo
mnie to wyczerpywało.

- Wierzę - rzekła Kate ze współczuciem. - Widzę,
że zajmowała się panią doktor Venables, i że była pani
operowana w Plymouth. Powiedziano pani chyba, dla-
czego operacja była konieczna?

- O tak. Lekarze stwierdzili, że mam włókniaki.

- I powiedzieli pani, co to jest?

- Niedokładnie. Powiedzieli, że to narośle w maci-
cy. Czy to znaczy, że mogły się rozprzestrzenić na inną
część ciała?

Sprawiała wrażenie przerażonej.

- Myślę, że nie - uspokoił ją szybko Kate. - Zwy-
kle są łagodne.

- Ale usunięto mi całą macicę. Myślałam...

Kate uśmiechnęła się, usiłując dodać kobiecie nieco
otuchy.

- Czasem chirurg musi przeprowadzić histerekto-
mię, kiedy włókniaków jest tyle, że trudno je usunąć.
Ale to nie znaczy, że narośle są rakowate.

- Rozumiem. Więc... czy teraz wszystko jest w po-
rządku?

Kate spojrzała na dokumenty ze szpitala.

- Wydaje mi się, że tak. Widzę, że po operacji była pani na kontroli w szpitalu. Czy lekarz nie mówił, że wszystko jest w porządku? Czy dał pani możliwość wy-
pytania się o wszystko?

- W gruncie rzeczy nie. Trudno mi było z nim rozmawiać.

Nawet teraz kobieta wyglądała tak, jakby nie mogła uwierzyć, że zagrożenie minęło, toteż Kate postanowiła dokładniej omówić z nią problem. Charlie zaczynał się niecierpliwić, wobec czego znalazła pudełko z zabawkami i dała mu układankę, która go całkowicie zaabsorbowała.

- Niepokoi się pani, prawda? - zwróciła się do pani Webb.

- Tak. Wiem, że to niemądre. Ale widzi pani, to wszystko było dla mnie takie trudne, że nie miałam odwagi spytać o co trzeba. Jack, mój mąż, uważa, że powinnam była to zrobić, ale czułam się taka zagubiona... A poza tym wszyscy mieli tyle roboty, że nie chciałam zawracać głowy.

Biedactwo, pomyślała Kate. Przerazona bez powodu. Zajrzała ponownie do dokumentów.

- Wszystko jest w absolutnym porządku. Napisano to czarno na białym, więc nie ma pani powodu się martwić.

Nie miała wątpliwości, że chirurg w jakimś momencie rozmawiał z pacjentką, ale może nie zdawał sobie sprawy, że była zbyt zdenerwowana, by słyszeć, co do niej mówi. Spodziewał się także, że porozmawia z nią jej lekarz. Najwyraźniej do tego nie doszło, bo pani

Webb dawno się nie pokazywała w przychodni. Trzeba będzie o tym pomówić na zebraniu.

Przez chwilę przyglądała się pacjentce. Wyraz lęku zniknął co prawda z jej oczu, ale sprawiała wrażenie zmęczonej i przygnębionej.

- Co z pani apetytem? - zapytała.

- Nieźle, choć jedzenie nie sprawia mi przyjemności. Kiedy skończę sprzątanie i pranie, jestem zbyt zmęczona, żeby się czymkolwiek cieszyć.

Kate wyobraziła sobie lśniący czystością dom, gdzie wszystko leży na swoim miejscu, jedzenie gotowe w chwili, gdy mąż wraca z pracy, i brak energii na cokolwiek.

- A gdyby pani czasem na chwilę zostawiła dom i poszła na spacer? Czy byłoby w tym coś strasznego?

Kobieta uśmiechnęła się blado.

- Jack mi ciągle powtarza to samo. Mówi, że w życiu są ważniejsze rzeczy, ale sama nie wiem... Mieszkamy w New Barling, ale dom jest nasz, kupiliśmy go. Chcę się nim zajmować jak należy. - Westchnęła. - Tak mnie wychowała matka. Powiedziała, że żaden mężczyzna nie zechce fladry.

Kate roześmiała się cicho.

- Jestem przekonana, że nikt nie mógłby tego o pani powiedzieć. Myślę, że mąż byłby zadowolony, gdyby miała pani mniej obowiązków. Żaden mężczyzna nie chce żony niewolnicy.

- Jest pani zamężna?

Kate zaskoczona wyznała, że nie, i natychmiast w duchu ujrzała Davida - swego niedoszłego męża,

człowieka, za którym nadal tęskniła. Zastanawiała się, co przywołało jego obraz, i uświadomiła sobie, że sprawiło to słowo „niewolnica”.

Powtórzyła sobie kolejny raz, że mimo wewnętrznej pustki, jaką odczuwa, wreszcie zdołała odzyskać wolność. Przeżyła kilka miesięcy z tym człowiekiem i groziło jej, że zostanie niewolnicą. Z biegiem czasu zdała sobie sprawę, że mimo gorących zapewnień, że jest inaczej, David tego właśnie pragnął.

Ocknęła się z zamyślenia i spojrzała na panią Webb.

- Wpadnę do Charliego przed końcem tygodnia - obiecała. — Ale jeżeli będzie pani niespokojna, proszę zadzwonić, przyjadę od razu. Tymczasem zapiszę pani witaminy. Poprawią pani ogólne samopoczucie i mam nadzieję, że przywrócą apetyt.

Gdy Kate skończyła przyjmować długą kolejkę pacjentów, było dobrze po południu. Ale zanim mogła wrócić do domu, by coś zjeść, musiała wprowadzić dane do komputera, powielić je i umieścić w teczkach pacjentów. Potem poszła do recepcji, by sprawdzić, czy któryś z pacjentów przydzielonych jej przez Maurice'a dzwonił i zamawiał wizytę.

- Dzisiaj jest tylko jeden, pani doktor. Majakiś problem ze stopą - poinformowała ją June. - Mieszka za miastem i nie ma telefonu. Dzwoniła sąsiadka. Podobno znalazła go w rowie i odprowadziła do domu.

- I nie wezwała karetki?

- Nie chciał karetki. Prosił, żeby zadzwoniła do nas i wezwała panią.

- Mnie? Osobiście?

June zaśmiała się cicho.

- Zdaje się, że wywarła pani na nim wrażenie, chociaż ta kobieta nie chciała powiedzieć, skąd właściwie on panią zna.

Kate patrzyła na nią zdziwiona.

- Więc któż to jest, ten mój wielbiciel?

- Michael Lee. - June podała jej skrawek papieru.

- Ależ to pacjent doktora Allowaya! Poznałam go, kiedy byliśmy po zakupy w Tanwyth.

- Robiła pani zakupy z Benem Allowayem? - June wyglądała na zaskoczoną.

- Nie, oczywiście, że nie - sprostowała pośpiesznie Kate. - Spotkaliśmy się przypadkiem.

- Cudom nie ma końca - zauważyła z uśmiechem recepcjonistka. - Nikt, absolutnie nikt nigdy nie spędza ani chwili z naszym przystojnym doktorem, nawet przez przypadek. Niewielu osobom udało się też zobaczyć jego dom. Ale taki już jest nasz tajemniczy doktor.

Drzwi wejściowe otworzyły się, wpuszczając powiew świeżego powietrza.

- Kto mnie wzywa? - zapytał niski głos.

Kate odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Benem, czując się nagle jak dziecko przyłapanie na wyjadaniu konfitur.

- Och, to nic strasznego, zapewniam pana - powiedziała. - Jeden z pana pacjentów poprosił, żebym go odwiedziła. Ale jestem przekonana, że to nieporozumienie, które szybko wyjaśnimy.

- Kto jest tym pacjentem?

- Michael Lee. Poznałam go w sobotę.
- A to łobuz! Dlaczego prosił o wizytę?
- Podobno wpadł do rowu i uszkodził kostkę - wyjaśniła June.

- Czy to pilne?

- Nie sądzę. Dzwoniła jego znajoma, która udzieliła mu pierwszej pomocy, a potem poprosiła o przysłanie doktor Frinton. W każdym razie ją miała na myśli, choć nie wymieniła nazwiska. Powiedziała, że chodzi o nową panią doktor.

Ben spojrzał na Kate rozbawionym wzrokiem.

- Musiała mu się pani spodobać! Zawsze podejrzewałem, że to kobieciarz!

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że nie wezwał pana?

- Nic a nic. Z przyjemnością podzielę się jedną z barwniejszych postaci w Devon. Ale czy trafi pani do jego wozu? Jest tak dobrze ukryty, że kiedy tam pojechałem po raz pierwszy, straciłem masę czasu na szukanie.

- W takim razie może mi pan powie, jak tam jechać.

- A może lepiej będzie, jeśli pojedę z panią? Naturalnie nie będę się wtrącał. Nie mam szowinistycznych uprzedzeń co do kobiet lekarzy, przysięgam.

Kate przyglądała mu się, rozważając w duchu, czy to rzeczywiście prawda. Nawet w oświeconych czasach obecnego stulecia niektórzy lekarze płci męskiej nie dowierzają kobietom parającym się tą profesją. Na przykład jej bracia nigdy nie wierzyli, że ona naprawdę zostanie lekarzem internistą.

Ale ani na twarzy Bena, ani w jego oczach nie dostrzegła nawet śladu nieufności.

- Doskonały pomysł - oznajmiła. - Pojedziemy pa-
na samochodem czy moim?

- Chyba moim. A poza tym mam znakomity po-
mysł: ponieważ sprawa nie jest pilna, zjemy po drodze
lunch.

Nie wiedziała, czy coś się za tym kryje, ale pomysł
jej się podobał. W chwilę później, udając, że nie widzi
znaczącego uśmiechu June, wsiadła do samochodu Be-
na i pozwoliła się zawieźć wąskimi drózkami do Far-
mer's Castle - miłego pubu oddalonego o kilka kilome-
trów od wioski.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ben zaparkował w zatoczce i kawałek dzielący ich od Farmer's Castle pokonali piechotą. Kate była zachwycona: pub rzeczywiście wyglądał jak zamek. Był solidny, zbudowany z kamienia, a płaski dach miał zwieńczony ozdobnymi wieżyczkami. Fasada przedstawiała się równie imponująco. Wąskie okna z szybką nierównej wielkości i ogromne dębowe drzwi z ciężką żelazną klamką sprawiały, że budowla ta wyglądała tak, jakby ją żywcem przeniesiono z przeszłości. Wryta na ścianie data wskazywała, że tak było istotnie.

- Jest wspaniały! Czy naprawdę zbudowano go w tysiąc osiemset czternastym roku?

- Ależ nie, o wiele dawniej! Tę datę wryto na pamiętkę wygnania Napoleona na Elbę.

- Napoleona?

Ben wprowadził ją do niskiego pomieszczenia o ścianach ze starych dębowych belek, z wygodnymi meblami pokrytymi czerwonym pluszem.

- Ten sławny dżentelmen miał spory wpływ na Devon - wyjaśnił z uśmiechem. - Więzienie w Princetown, które nazywamy Dartmoor, zbudowano dla francuskich żołnierzy, jeńców wziętych przez nas do niewoli podczas wojen napoleońskich.

- A co się z nimi stało później?

- Prawdopodobnie wrócili do domu, choć legenda mówi, że niektórzy zostali tutaj i pożenili się. Dla mnie te dawne dzieje to problematyka zbyt zawikłana. Pozostaną przy współczesnej medycynie.

Zamówił w barze dwie porcje chrupiącego chleba z serem, sałata i piklami, przyniósł szklankę lemoniady dla Kate i małe piwo dla siebie. Kiedy usiedli przy kominku, na którym płonęły kłody drzewa, Kate poczuła, że się odpręża.

- Cieszę się, że jest ktoś, kto wie równie mało o historii co ja - wyznała konspiracyjnym szeptem, rozgrzana ciepłem bijącym od ognia i poczuciem rodzącego się między nimi koleżeństwa. - Zwykle muszę znosić niezbyt grzeczne uwagi, kiedy ludzie uświadamiają sobie moją ignorancję.

Uśmiechnął się.

- Trudno mi w to uwierzyć. Któż by się ośmielił pani coś wytykać?

- Och, mnóstwo ludzi! Włączając w to moich trzech mądrych braci. Wszyscy są lekarzami i trudno im pogodzić się z faktem, że ich najmłodsza siostra też zrobiła dyplom. Wszyscy trzej są specjalistami.

- Dzięki Bogu, nie mam takich ambicji. Za nic na świecie nie zrezygnowałbym z medycyny ogólnej, choć w swoim czasie moja żona usiłowała mnie do tego nakłonić.

- Była lekarzem?

- Nie, pielęgniarką - odparł krótko.

Miała wrażenie, że na samo wspomnienie nieżyjącej

żony mroczny cień przesunął się w jego oczach. Zastanawiała się, jaka była ta kobieta, i uprzytomniła sobie, że Ben coś mówił i że nie usłyszała ani słowa.

- Przepraszam...

- To ja powinienem przeprosić, że zmieniam temat. Myślała pani o braciach?

- Tak - skłamała. - Również o rodzicach. Byli oboje tak odważni, że trudno im dorównać.

- To brzmi intrygująco. Rozumiem, że i oni zajmowali się medycyną?

- Tak. Umarli jakiś czas temu.

Dziwne, ale nie sprawiało jej już trudności mówienie o nich. Szok, jaki dotychczas stanowiła ich nagła śmierć, wreszcie zelżał i była w stanie otwarcie rozmawiać o nich z Benem.

- Moja matka była położniczką. Pierwsze lata pracy zawodowej spędziła w Ameryce Południowej, gdzie mój ojciec prowadził badania nad leiszmaniozą. Pobrali się i kiedy mama zaszła w ciążę, wrócili do Anglii. Potem ojciec pisał książki na swój ulubiony temat i wykładał w szkołach medycznych na całym świecie. Kiedy dorośliśmy, mama jeździła razem z nim.

Ben patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Chce pani powiedzieć, że sławny Scott Frinton był pani ojcem?

Zaśmiała się zażenowana.

- Tak, był znany, ale jako dzieci nie okazywaliśmy mu należytego szacunku.

- Nie bardzo się znam na medycynie tropikalnej, ale wiem, że leiszmaniozę przenosi południowoamerykań-

ska odmiana Moskita. Muszę powiedzieć, że podziwiam lekarzy, którzy prowadzą takie badania, choć mnie samego to nigdy nie pociągało.

- Mnie też nie.

- Ale chciałaby się pani kiedyś w czymś wyspecjalizować, tak jak bracia?

- Kiedyś tak myślałam, ale teraz już nie. Przez pewien czas pracowałam w szpitalu dziecięcym i bardzo to lubiłam, nawet chciałam zostać pediatrą, ale kiedy zajęłam się medycyną ogólną, zdecydowałam, że chcę przy niej zostać. Kocham różnorodność.

- I kocha pani ludzi, prawda?

- Tak - odparła cicho, patrząc w jego oczy, w których pojawił się smutek.

Pomyślała, że to z powodu zmarłej żony i chciała wyciągnąć do niego rękę, by wyznać, że czuła się tak samo zdruzgotana, kiedy jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. Nie wiedziała, w jakich okolicznościach umarła żona Bena, ale chciała mu powiedzieć, że kiedyś mija czas żałoby, choć cień smutku pozostaje na zawsze.

Miała ochotę się odezwać, ale powstrzymała się, widząc jego zmarszczone czoło. Barman przyniósł zamówienie i zajęła się jedzeniem, jakby to było w tej chwili najważniejsze.

- Jak minął pierwszy dzień w przychodni? - spytał i poczuła, że opuściło go napięcie.

Zaczęła mu żywo opisywać poszczególnych pacjentów. To wreszcie sprawiło, że się uśmiechnął, a potem, kiedy przyznała, że obawiała się ataku ze strony pani Burrows, zrobił przerażoną minę.

- Och, proszę się nie martwić - uspokoiła go - to ona w końcu się rozpląkała. Muszę jednak przyznać, że niepokoi mnie jej stan, i to tak dalece, że chciałabym o tym pomówić na zebraniu. A skoro mowa o pacjentach, pomyślałam, żeby po południu wstąpić do Maisie Brown. Nie przyszła dziś rano i trochę mnie to niepokoi.

- Pojechać tam z panią po wizycie u Michaela?

- Miałby pan ochotę? Czy nie zabierze to panu zbyt wiele czasu?

- Nie, zarezerwowałem to popołudnie dla pani. Maurice uznał, że to dobry pomysł.

- Bo jestem nowa i jeszcze nie wiem, co i jak? Czy chce mnie pilnować?

Jej głos zabrzmiał ostro, bo przypomniała sobie obśesję Johna Smitha i jego wzmiankę o policyjnych metodach Maurice'a. Odsunęła od siebie tę myśl, nakazując sobie zdrowy rozsądek.

- Kobieto, ja nie jestem strażnikiem w więzieniu! - zawołał Ben z uśmiechem. - Staram się tylko być dobrym kolegą.

- Przepraszam, muszę przestać być podejrzliwa.

- Więc jesteście kolegami? - zapytał, wyciągając dłoń.

- Tak. Jesteśmy kolegami.

Podawała mu dłoń, a on nią potrząsnął. Dotyk jego skóry zelektryzował ją. Gdy cofnął rękę, znów poczuła, że ogarnia go przygnębienie.

Co się z nim dzieje? W jednej chwili jest pogodny i wesoły, a w minutę później patrzy na nią, jakby nie

mógł znieść jej widoku. Miała ochotę warknąć na niego i powiedzieć, że i ona miewa humory.

Starając się panować nad sobą, wstała od stołu, powiedziała Benowi za lunch i poszła za nim do samochodu.

Stuknięty Borys, jak nadal nazywała go w skrytości Kate, urządził sobie dom w najbardziej zniszczonej przyczepie, jaką zdarzyło jej się widzieć. Stała na skraju pola, w zupełnym odosobnieniu. W pobliżu nie było sąsiadów i gdyby nie kobieta, która przypadkiem znalazła go w rowie i zadzwoniła do przychodni, mógłby rzeczywiście być w niebezpieczeństwie.

- Co sprawia, że człowiek chce mieszkać na takim odludziu? - zapytała, kiedy szli przez łąkę, omijając dziury w ziemi.

- Może jest samowystarczalny?

- Dobrze, dobrze. Lubię mieszkać sama, ale chcę też wiedzieć, że jest ktoś w pobliżu.

- Nigdy nie była pani zamężna? - zapytał nagle i zaraz przeprosił za wścibstwo a potem odwrócił się, znówu czymś zaszepiony.

Szanuje jej potrzebę prywatności? Rozumiała to i szanowała tę samą potrzebę u niego.

- To zupełnie naturalne pytanie - oznajmiła. - Nie, nie miałam męża. Byłam zaręczona z kolegą lekarzem, ale nic z tego nie wyszło.

- Bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie. To była pomyłka.

Podeszli do przyczepy i Ben zastukał do drzwi, za-

nim je otworzył. Ku zaskoczeniu Kate wewnątrz panowała nienaganna czystość. Michael Lee leżał na składanym łóżku, a jego sutanna wisiała na kołku w kącie. Miał na sobie dżinsy i koszulkę i był przykryty kracastym kocem. Usiadł i popatrzył na Bena z widocznym rozczarowaniem.

- Powiedziałem Maud, żeby poprosiła o nową lekarzkę, nie o pana - mruknął z pretensją w głosie.

- Niech się pan nie martwi - odparł Ben wesoło.
- Doktor Frinton też przyjechała.

- Och, to dobrze. Jestem pewien, że sam jej widok mi pomoże.

- Właściwie jest pan pacjentem doktora Allowaya - zauważyła Kate, stawiając torbę lekarską na stołku przy łóżku.

- W takim razie chcę się natychmiast przenieść!

Kate zauważyła, że Ben z trudem powstrzymuje śmiech.

- Boję się, że to będzie trudne i pracochłonne - zauważył. - Potrzebne są oficjalne pisma, formularze i tak dalej.

Mężczyzna mruknął coś obraźliwego i oboje pomyśleli, że takie mało uprzejme słowa, wypowiedziane przez człowieka wykształconego, zupełnie do niego nie pasują. Widocznie pomyślał to samo, bo zaczerwienił się i przeprosił Kate.

- Za co? - zapytała.

- Za słownictwo. Zwykle tak nie mówię w obecności dam.

- Słyszałam gorsze rzeczy - rzekła z uśmiechem-

- Zdumiewa mnie pani, ale naprawdę muszę zaprotestować. Całe to wypełnianie formularzy jest niepotrzebne. Co pani ma zamiar zrobić w tej sprawie?

- Na razie nic, dopóki nie porozmawiam z doktorem Gilmore'em i dopóki doktor Alloway nie wyrazi zgody.

- Podziwiam pani lojalność - oznajmił z odcieniem szacunku w głosie.

- Dziękuję. A jak jest z panem? Proszę mi powiedzieć, dlaczego woli pan być moim pacjentem niż doktora Allowaya. Mojemu koledze niczego nie brakuje.

- Owszem, moja droga - zachichotał Michael Lee.
- Po pierwsze, nie chodzi w spodnicy.

Kate na chwilę zaniemówiła i ucieszyła się, gdy Ben przejął inicjatywę, mówiąc pacjentowi, by przestał sobie stroić żarty i dając jej znak, żeby zaczęła badanie.

- Jest pan pewien, że to ja mam to zrobić? - zapytała cicho.

- Niech ma, czego chce! - oznajmił Ben tak głośno, że Michael nie mógł go nie usłyszeć. - i proszę go nie oszczędzać. Czas, żeby się dowiedział, że lekarki są równie dokładne jak lekarze. Może wtedy przestanie udawać.

Jego głos brzmiał ostro, Kate jednak widziała, że jest rozbawiony, i podjęła grę. Potrafiła być delikatna, ale to nie przeszkadzało jej dokładnie zbadać pacjenta. Ośluchiwała go, zmierzyła puls i zajrzała pod dolną powiekę. Wreszcie skierowała uwagę na rzekomo uszkodzoną kostkę.

Zorientowała się, że Michael omal nie wystrychnął jej na dudka, i była zadowolona z obecności Bena.

- Pańska stopa jest absolutnie zdrowa - oznajmiła surowo. - Zmarnował pan nasz czas. Gdybyśmy byli policjantami, moglibyśmy pana oskarżyć o nadużycie. Jako lekarka nie mogę tego zrobić, ale muszę pana uprzedzić, że mam obowiązek zapisać to wszystko w pańskiej karcie choroby. I naturalnie powiem o tym naszemu starszemu wspólnikowi.

Z satysfakcją spostrzegła, że spuścił z tonu. Zadawała sobie pytanie, po co wdał się w taką historię. Szukał towarzystwa, bo czuje się samotny? Czy też istniał jakiś problem psychiczny, którego nie dostrzegła?

- Czy możemy pomówić na osobności? - zwróciła się do Bena.

- Oczywiście.

Wyszli na dwór. Ben z trudem się powstrzymywał od śmiechu.

- Nakryła go pani, nie ma co! I to w samą porę.

- Ben, nie jestem pewna... Może uciekł się do tej sztuczki z jakiegoś ważnego powodu? Sądzi pan, że coś mu dolega?

- O tak. Ma kłopoty sercowe i nadczynność libido.

- Nie, poważnie.

- Mówię poważnie. Jest samotny, pierwszy raz od dłuższego czasu zobaczył atrakcyjną kobietę i myśli o pani. Jestem przekonany, że o to chodzi.

- Ale czy jest zrównoważony? Mówił pan, że jest wykształcony, a jak mieszka!

- On tego chce, Kate. To jego wybór. A co do jego zdrowia psychicznego... myślę, że jest po prostu ekscentrykiem. Będzie się pani musiała przyzwyczaić do

faktu, że tutaj w okolicy wiele osób odbiega od normy. Pełno tu nonkonformistów, artystów, pisarzy, ludzi z wyobraźnią.

- I to panu nie przeszkadza.

- Nie. Pracowałem przez pewien czas w Londynie i spotykałem ludzi, do których nie dawało się przyłożyć zwykłej miary. Stuknięty Borys ma tam wielu sobie podobnych.

- Więc zgodzi się pan, żebym go przejął jako pacjenta?

- Niezupełnie. Wprawdzie nie sądzę, żeby nie umiała pani sobie z nim poradzić, ale potrafi być nieźnośny.

- Więc może niech zostanie na liście pana pacjentów i jeśli się będzie upierał, będziemy się nim dzielić.

- Świetnie! Zwykle przychodzi do Rowans, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby odwiedzał także New Barling.

- Dobrze, załatwione. Nawiasem mówiąc, jak on się dostaje do przychodni?

- Pieszo. Chodźmy mu powiedzieć, co ustaliliśmy.

Kiedy uporała się ze Stukniętym Borysem, zrobiło się późno i obawiała się, że gdy odwiedzi Maisie Brown, spóźni się na wieczorny dyżur w przychodni.

- Czy jest tu gdzieś automat? - spytała, kiedy znalazła się w samochodzie. - Chciałabym zadzwonić i uprzedzić recepcję, że mogę się spóźnić.

- Maurice nie dał pani telefonu komórkowego?

- A przysługuje mi?

- Owszem, wszyscy je dostaliśmy. Mogę to pani załatwić, jeśli pani sobie życzy.

- Będę panu bardzo wdzięczna.

- W porządku. Na razie proszę skorzystać z mojego.

Podjechali pod dom Brownów. Kate zadzwoniła dwukrotnie do drzwi, ale nikt nie otwierał. Kiedy już miała odejść, drzwi uchyliły się i wyrzała zza nich blada, stroskana twarz.

- Doktor Frinton! - W oczach Maisie pojawił się lęk, a jej głos brzmiał ochryple. -i doktor Alloway. Nie słyszałam dzwonka, ale zobaczyłam cień w oknie. Przepraszam, musiałam się zdrzemnąć.

- Nic się nie stało - odparła Kate. - Ciekawi jesteśmy, jak się pani czuje. Nie było pani dziś rano w przychodni.

Blada twarz Maisie poczerwieniała i niemal natychmiast zbladła.

- Tak mi przykro! Nie zapomniałam o tym, ale kiedy podjechał kolega Joe'ego, jak co dzień, nie czułam się na tyle dobrze, żeby wyjść.

- Możemy wejść?

- Tak, oczywiście. Powinnam była państwa zaprosić. Przepraszam.

Weszli do holu.

- Może zrobić pani herbaty? - zapytała Kate.

- Nie, dziękuję. Piłam rano, ale zwymiotowałam.

Ben spojrzał na Kate i podniósł znacząco brwi.

- Często się to pani zdarza? - zapytał.

- Od niedawna. Przedtem robiło mi się słabo, tak jak wtedy w pubie.

- A teraz?

Maisie obdarzyła ich słabym, żałosnym uśmiechem.

- Owszem, kręci mi się w głowie. Może usiądę?

Ben ujął jej ramię, poprowadził ją do salonu i delikatnie usadził w fotelu.

- No jak? Lepiej?

Maisie skinęła głową, opierając się o poduszkę. Ponownie zaczęła przeproszać za „zawracanie głowy” tego poranka.

- Kiedy wstałam, nie mogłam ustać na nogach.

Kate rozejrzała się po pokoju i spostrzegła telefon.

- Powinna pani była do nas zadzwonić, Maisie. Ktoś by natychmiast przyjechał.

- Naprawdę nie chciałam nikomu robić kłopotu.

- Drogie dziecko - odezwał się Ben - musi pani przyjąć do wiadomości, że lekarze są od tego, żeby pomagać.

- Nawet jeśli nie wiem, co mijest?

- Przecież to lekarz ma stwierdzić, co pani dolega, i potem zająć się panią. Nie tylko leczyć to, co widzą wszyscy, ale również całą resztę.

Dziewczyna wyglądała na przerażoną.

- To nie znaczy, że w chorobie jest coś tajemniczego - wtrąciła Kate. - W pani przypadku to coś, co sprawia, że czuje się pani taka zmęczona, to całkiem prosta rzecz.

- I wie pani, co to?

- Może pani brakować żelaza, co nie jest zawsze groźne. W pani przypadku myślę, że powodem jest ciąża. Mam rację?

Przez chwilę Maisie sprawiała wrażenie ogłuszonej, a potem na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Dziecko? Prawdziwe, żywe dziecko? Jak cudownie! - zawołała i oczy jej zalśniły.

- Nie wiedziała pani?

- Oczywiście Joe i ja mieliśmy nadzieję...

W jej oczach pojawił się wyraz rozmarzenia i Kate poczuła się zaskoczona jej naiwnością. Wyglądała jak święty obrazek - czysta i niewinna.

- Mąż się ucieszy?

- Będzie uszczęśliwiony!

- Im szybciej zapisze się pani do lekarza, tym lepiej.

- W takim razie przyjdę jutro, obiecuję.

- Na razie nie trzeba. Proszę wypełnić te formularze i dać je pielęgniarce. Przyjdzie jutro do pani i pobierze krew do badania.

Gdy wracali do samochodu, Kate milczała. Dopóki Ben się nie odezwał, nie była świadoma jego myśli.

- Niech się pani nie gniewa, Katie, ale martwię się o panią - powiedział.

Niewiele osób nazywało ją Katie - tak jak ojciec. Poruszyło ją to i sprawiło jej przyjemność.

- Martwi się pan? Dlaczego?

- Bo zbyt bierze sobie pani do serca kłopoty pacjentów. To jest właściwie godne pochwały, ale nie zniósłbym, gdyby któryś z nich panią skrzywdził. Niech pani uważa, dobrze?

W drodze do przychodni milczała, rozmyślając nad słowami Bena. Nie bardzo wierzyła w troskę, którą

usłyszała w jego głosie. Zastanawiała się, czy to, co powiedział, jest istotnie zarzutem.

Kiedy przyjechali na miejsce, wysiadł, żeby otworzyć jej drzwiczki, i czekał, aż wysiądzie. Zauważyła, że wpatruje się w nią, i dostrzegła przytłumiony żar w jego oczach, jakby jej widok sprawiał mu przykrość. Po chwili jego spojrzenie stało się puste i pomyślała, że wcale jej nie widzi.

Powoli wrócił na swoje miejsce za kierownicą, zrobił pożegnalny gest ręką i odjechał w stronę Rowans, nie mówiąc już ani słowa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy ostatni pacjent opuścił tego wieczoru ośrodek, Kate rozejrzała się w poszukiwaniu Mary Koliński i stwierdziła, że pielęgniarka też już wyszła.

- Czy mamy jej numer, gdybym chciała do niej zadzwonić? - zwróciła się do June Cranworth w recepcji.

- Oczywiście. Powinna już być w domu.

- I nie będzie miała nic przeciwko temu, że dzwonię o tej porze?

- Pewnie, że nie.

Kate zadzwoniła do pielęgniarki ze swego gabinetu, przeprosiła, że niepokoi ją w domu, i poprosiła, by wstąpiła nazajutrz rano do Maisie Brown.

- Potrzebne mi są badania krwi, zanim ją zacznę leczyć - wyjaśniła. - Podejrzewam ostrą anemię.

- Naturalnie! - odparła Mary. - I proszę zawsze śmiało dzwonić do mnie do domu.

- Dzięki. Zostawię w recepcji listę badań, które trzeba zrobić. Proszę od razu odesłać próbkę.

- Oczywiście. Zaraz pani powiem, do którego laboratorium ją wyślemy, wezmę tylko kalendarz. Jutro jest wtorek, więc to będzie Plymouth. Wyślę ją kurierem.

- Dziękuję. Mam wobec pani dług wdzięczności, więc może się kiedyś wybierzemy na kawę?

- Wspaniale! Może w przyszłym tygodniu? Będzie mi pani mogła opowiedzieć o sobie.

Kate zeszywniała.

- Niewiele jest do opowiadania - odparła ostrożnie - ale pani to co innego. Chciałabym wiedzieć, skąd ma pani takie dziwne nazwisko.

- To proste! Mój dziadek był Polakiem. Wspaniały człowiek. Opowiem pani kiedyś o nim, jeśli będzie pani w stanie znieść historię krwawych i bohaterskich czynów, jakie wiążą się z tym nazwiskiem. Ale to nie teraz, bo mogłabym gadać o nim całą noc, a muszę się wyspać.

Krwawe i bohaterskie czyny? Odłożywszy słuchawkę, Kate zastanawiała się, co Mary miała na myśli.

Zostawiła w recepcji zlecenie na wykonanie badań i pojechała do domu. Na kolację zjadła jajka i makaron i wyczerpana położyła się do łóżka. Nie mogła jednak zasnąć, bo w myślach nieustannie dźwięczały jej słowa Bena.

Przewracała się z boku na bok, przeżywając całą gamę uczuć - od irytacji do niemądrej nadziei i wreszcie rozpacz, kiedy osaczyły ją obrazy z przeszłości.

Niech go licho! - pomyślała ze złością. Może się obejść bez jego troski. To, że jej powiedział, że się o nią martwi, nic jeszcze przecież nie znaczy. Gdyby jej los naprawdę nie był mu obojętny, nie odjechałby tak szybko i nie zostawił jej samej.

Następnego ranka poczekalnię wypełniali przede wszystkim dorośli pacjenci. Stwierdziwszy, że ich główną dolegliwością są przeziębienia, z którymi świet-

nie mogli sobie poradzić sami, Kate odgadła, że są przede wszystkim ciekawi nowej lekarki.

Później, pijąc kawę w niewielkiej kawiarence, postanowiła jak najprędzej odwiedzić chorego na odrę Charliego Webba.

Gdy przestudiowała mapę, stwierdziła, że jej mały pacjent mieszka niedaleko przychodni. Jechała krętymi uliczkami osiedla New Barling i wreszcie przystanęła przed niedużym domkiem w miejscu noszącym jak na ironię nazwę „Klonowy Zaułek”.

Wokół nie było widać ani jednego drzewa, nie mówiąc już o czymś tak imponującym jak kanadyjski klon. Gdy otworzyła żelazną furtkę i szła kamienną ścieżką w stronę domu, czuła się dziwnie przygnębiona.

Drzwi otworzyła z rozmachem pulchna kobieta. Kate miała wrażenie, że ją obserwowała.

- Tak? - zapytała. - Chce pani czegoś?

Kate starała się nie zwracać uwagi na jej zły humor. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, że za kobietą drepce mała dziewczynka. Chowała twarzyczkę w fałdach spódnicy, podnosząc na Kate ogromne niebieskie oczy.

- Przepraszam - powiedziała spokojnie Kate. - Musiałam pomylić adres. Jestem lekarką pani Webb i...

- O tak, to jej dom! - warknęła kobieta. - Chcę z panią porozmawiać, więc lepiej niech pani wejdzie.

Kate nie miała pojęcia, dlaczego ta obca kobieta jest na nią wściekła. Tłumiąc irytację, weszła do holu.

- W czym mogę pomóc? - zapytała.

- Przede wszystkim niech pani powie Joan Webb, żeby się trzymała od nas z daleka. Nie pozwolę, żeby

jej Charii bawił się z naszą Tiną. Ten chłopak to istny diabeł! Wymyka się z domu, a cały jest w krostach. Zarazi Tinę.

- Kiedy pani córka ostatni raz widziała Charliego, pani...

- Nazywam się Peggy Judd - ucieła kobieta, odsuwając od siebie dziecko. - Często się z nią bawi. Przytapałam go wczoraj. Niech pani spojrzy! - zawołała histerycznie, popychając córeczkę w stronę Kate. - Krosty na całej twarzy! Wszystko przez niego!

Była to gruba przesada. Kate dostrzegła jedynie trzy małe krostki na podbródku dziewczynki. Mogła to być zwykła wysypka, być może wywołana nadmiarem słodczy. Postawiła torbę na krześle i pochyliła się, chcąc obejrzyć małą z bliska.

- To nie ma nic wspólnego z Charliem - oświadczyła, prostując się. - Charlie ma odrę, a u pani córeczki zaczyna się ospa wietrzna.

Peggy Judd milczała przez chwilę. Wyraźnie straciła rezon, złość jednak jej nie minęła. Kiedy odzyskała głos, wygłosiła dłuższe przemówienie na temat czystości, ludzi, którzy nic nie wiedzą o chorobach i o tym, że chorym nie umiejącym się zachować należy się tegie lanie.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, o czym pani mówi. - Kate starała się zachować spokój. - Co to wszystko ma wspólnego z Charliem i jego matką?

- Mówię pani, że nie chcę, żeby się zbliżał do naszej Tiny! Jego matka nie ma krzty rozsądku; wypuszcza chłopaka z domu w takim stanie. Teraz nasza Tina zarazi się odrą, a oprócz tego będzie miała ospę, tak?

- Albo Charlie zarazi się od niej - odparła Kate surowo. - Pomyślała pani o tym?

Kobieta na chwilę zamilkła.

Przez cały ten czas pani Webb nie pokazała się i Kate uznała to za dziwne. Mogła zrozumieć nieobecność Charliego, który powinien leżeć w łóżku, ale co się dzieje z matką?

- Gdzie jest pani przyjaciółka? - zapytała, kiedy pani Judd sięgała do klamki.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Poza tym to nie jest moja przyjaciółka.

- Więc co pani tu robi?

- Powiedziałam pani: przyszłam jej wygarnąć prawdę, ale jej nie znalazłam.

- Była pani na górze?

- Jeszcze nie. Zawołałam ją, a wtedy pani zadzwoniła do drzwi.

- A jak pani weszła do domu? - Kate była coraz bardziej zdziwiona.

- To następna sprawa. To niemądre stworzenie zostawia klucz pod wycieraczką. Mówi, że to na wypadek, gdyby jej mąż zgubił swoje klucze, a ona była poza domem. Zaprasza złodziei!

Kate spojrzała na Tinę. Dziewczynka miała zaróżowioną twarz i zaczerwienione oczy, co wskazywało na szybko rosnącą gorączkę.

- Myślę, że powinna pani jak najszybciej położyć małą do łóżka - oznajmiła spokojnie - i zadzwonić do swojego lekarza.

- Nie mam lekarza - sarknęła kobieta. - Wprowadziliśmy się dopiero dwa tygodnie temu.

Kolejna nie zarejestrowana pacjentka! I w dodatku oskarżająca sąsiadkę o brak ostrożności.

- Najwyższy czas kogoś znaleźć. Oczywiście, nie ma pani obowiązku się rejestrować, ale jeśli będzie pani nagle potrzebny lekarz, będzie pani musiała płacić jak prywatna pacjentka.

Pani Judd wpatrywała się w Kate w milczeniu. Złość na jej twarzy ustąpiła miejsca zwątpieniu, a to z kolei przerodziło się w wyraz szczerego podziwu.

- No, no! - powiedziała wreszcie. - Zna się pani na rzeczy, nie ma co! A kogo by mi pani poleciła? - dodała już spokojniej. - Może pani by mnie przyjęła?

Kate popatrzyła na kobietę i pomyślała, że ma ochotę podjąć wyzwanie i ujarzmić ją.

- Możemy spróbować - zgodziła się. - Ale tylko pod warunkiem, że będzie pani przyjmować rady od osoby mającej lepsze kwalifikacje, żeby zajmować się leczeniem. Sądzę, że nie ma pani wykształcenia medycznego? - dodała, nie mogąc sobie odmówić tej satysfakcji.

Wybuch śmiechu wypełnił hol i Kate zauważyła, że jej przyszła pacjentka ma prawdziwe poczucie humoru. Spodobało jej się to i od tej chwili wiedziała, że poradzi sobie z tą trudną kobietą.

- O rany, ale z pani numer! - Pani Judd otworzyła drzwi i pociągnęła za sobą Tinę.

- Chwileczkę! - Kate wyjęła z torby dokumenty potrzebne do rejestracji. - Proszę to wypełnić i przynieść do przychodni w New Barling, jak pani znajdzie czas.

- A nie mogę ich wypełnić od razu i oddać pani?
- Jeśli pani tak wygodniej. Proszę mi powiedzieć, gdzie pani mieszka, to wstąpię po nie.
- W sąsiednim domu. A jakie nazwisko mam wpisać?
- Jeśli chce się pani zapisać do mnie, to Kate Frinton. Ale są też inni lekarze. Recepcjonistka może pani doradzić.
- Pani albo nikt! - oznajmiła stanowczo kobieta.
- Proszę położyć Tinę do łóżka, a ja do niej zajrzę po rozmowie z panią Webb.
- Jeśli ją pani znajdzie!
- Jestem pewna, że gdzieś tu jest, więc niech pani teraz zrobi tak, jak pani radzę. I niech się pani nie martwi, że Tina dostanie odry. Czasem lepiej jest ją przejść w dzieciństwie.

Jej słowa zrobiły głębokie wrażenie na pani Judd. Wychodząc, popatrzyła na Kate spojrzeniem, jakie spotyka się tylko u nawróconych. Uśmiechając się do siebie, Kate weszła na górę, mając nadzieję znaleźć tam panią Webb i zastanawiając się, czemu podczas całej awantury nie zeszła do holu.

Odpowiedź była prosta. Pani Webb siedziała skulona przy łóżku Charliego, który spał smacznie, podczas gdy matka gładziła go po czole. Kiedy Kate się zbliżyła, pani Webb odwróciła się i spojrzała na nią przerażonym wzrokiem.

Schowała się tu, pomyślała Kate. Chciała pomóc tej biednej, smutnej kobiecie.

- Poszła sobie ta okropna baba?

- Poszła. Ale dlaczego pani tak się jej boi?

- To proste. Ona nas zwyczajnie nie lubi i wcale tego nie kryje. Myśli, że się wywyższamy. To głupie! Kimkolwiek się jest, biednym czy bogatym, zawsze jest się człowiekiem, prawda?

Kate przyglądała jej się przez chwilę, po czym rozpięła pidżamę śpiącemu Charliemu, by go osłuchać.

- Oczywiście - przytaknęła. - Może z czasem będziecie jednak dobrymi sąsiadkami?

- Naprawdę pani tak myśli? Chciałabym, żeby tak było, ale to chyba niemożliwe. Ona jest taka trudna!

- Niech jej pani da trochę czasu. Ona też chce być moją pacjentką.

- Módlmy się, żebyśmy nigdy nie przyszły do pani jednocześnie!

Nieco później tego samego popołudnia, wstąpiwszy do pani Judd i doradziwszy jej, by kupiła łagodzący płyn na wysypkę Tiny, Kate wzięła wypełnione formularze i wróciła do przychodni, gdzie spotkała Sheilę Venables.

- Dzień dobry! Szukałam pani - powiedziała lekarzka z uśmiechem. Była wysoką kobietą z lekką nadwagą, miłą i przyjazną. W jej niebieskich oczach skrzyły się iskierki radości, a w kasztanowych włosach upiętych w kok widać było kilka siwych pasemek.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała Kate.

- Niczym. Chciałam tylko panią przywitać. Byłam zbyt zajęta w Rowans, żeby tu wcześniej przyjechać, ale wreszcie się udało. Pomyślałam, że należy się pani kobiecie wsparcie!

- To bardzo miło z pani strony.

- Wcale nie miło. Bardzo lubię mężczyzn; zanim owdowiałam, byłam zamężna przez dwadzieścia lat, ale muszę przyznać, że czasem tęsknię za rozmową z kobietą po fachu.

- Ma pani teraz czas?

- A czy lekarz ma kiedykolwiek czas? - uśmiechnęła się Sheila. - Ale interniści, jeśli mają choć trochę zdrowego rozsądku, zawsze znajdują czas na rozmowę, choćby byli nie wiem jak zajęci. Mam ponad pół godziny przed dyżurem w Rowans, więc może pogadamy?

- Tutaj czy u mnie? Miałam zamiar zrobić herbatę i coś zjeść.

- Świetnie! Ja mieszkam za daleko, żeby móc panią zaprosić, aż za Rowans, koło Much Willborough. Słyszała pani o tej miejscowości?

- Słyszeć słyszałam, ale...

- To kolejne malownicze miasteczko. Pochodzę z Manchester i czasem trudno mi się przyzwyczać do tych okolic. Wszędzie te małe domki. Czasem jest się w nich bardzo samotnym.

Kate spojrzała na Sheilę nowymi oczami. Ta silna kobieta okazała się całkowicie ludzka.

- Chodźmy! Zabiorę panią do siebie. Na pewno to panią ucieszy, bo kochana Tilly Marsden pilnie mnie strzeże, jak i wszystkich moich znajomych. Przy niej nie sposób czuć się samotną.

- Jest pani pewna?

- Oczywiście! Cieszę się, że jest jeszcze jedna kobieta, której brakuje towarzystwa.

Pojechały na herbatę samochodem Kate. Przy podwieczorku paplały, o czym się tylko dało. Część rozmowy dotyczyła spraw zawodowych, część osobistych. Udało im się zbliżyć bez wchodzenia w szczegóły, które Kate pragnęła zachować tylko dla siebie.

- Teraz, kiedy się już poznałyśmy, co sądzisz o pracy ze mną w poradni dla kobiet? - zapytała Sheila niemal na odchodnym. - Czy chcesz to rozważyć jako wspólne przedsięwzięcie?

- Zamiast przychodzić cię odciążać, kiedy masz za dużo na głowie?

- Tak. Mogłybyśmy jednocześnie prowadzić oddzielne gabinety, mieć oddzielne listy pacjentek, ale pozostawać w ścisłym kontakcie.

Kate spodobał się ten pomysł, ale od razu spostrzegła pewną trudność.

- Muszę cię uprzedzić, Sheilo, że nie specjalizowałam się w położnictwie.

- Ale przeszłaś kurs ginekologii?

- Tak, podczas studiów, ale dotyczył on głównie prostych ciąż. Przeszłam też kurs położnictwa. Umiem się zorientować, kiedy trzeba wysłać pacjentkę do specjalisty.

- Jeśli o mnie chodzi, to całkiem wystarczy. Może jeszcze nie wiesz, ale masz u siebie byłego specjalistę, więc nie masz się czego obawiać.

- O kim mówisz?

- O sobie! Pracowałam kiedyś w zespole lekarzy położników w szpitalu na północy kraju. Bardzo lubiłam tę pracę, ale w końcu zdecydowałam, że to nie dla

mnie, więc zrezygnowałam i przyjąłam posadę lekarza ogólnego, do czego także miałam kwalifikacje. Wyglądasz na zdziwioną.

- Myślałam, że gdy się jest specjalistą...

- To już się nim zostaje na zawsze, co? Pewnie masz rację, ale w moim przypadku sprawy ułożyły się inaczej. Wyszłam za mąż za człowieka związanego z wielkim biznesem. Mój mąż zapracował się prawie na śmierć, więc przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Wtedy już nie mogłam harować od świtu do nocy w szpitalach, no i przeszłam na medycynę ogólną. Przenieśliśmy się pod granicę szkocką i wzięłam mało obciążającą praktykę, żeby mieć czas się nim zajmować. Na niewiele się to zdało - westchnęła. - Umarł w pięć lat później.

- Serce? - zapytała Kate cicho. - Bardzo mi przykro - dodała, gdy Sheila przytaknęła.

- Niepotrzebnie, moja droga. Wszystko przemija. Po jakimś czasie zdecydowałam się przenieść tutaj, żeby być dalej od smutnych wspomnień. Teraz mam nowe życie, pełne satysfakcji.

Kate milczała, wiedząc, jak dręczący jest ból po stracie bliskiej osoby, choć z czasem staje się mniej intensywny. Po chwili Sheila spojrzała na zegarek.

- Ojej, jak późno! Muszę iść. I proszę, nie decyduj się pośpiesznie w sprawie poradni. Mogę poczekać.

- Jeśli można, wpadnę w którąś środę, zanim się zdecyduję.

- Oczywiście, ale nie w tym tygodniu, bo jadę na seminarium do Exeter. Później zapraszam.

Odwiózłszy Sheilę z powrotem do New Barling, Kate spostrzegła, że już czas wrócić do przychodni. Nie czuła zmęczenia i przypisywała to miłym chwilom, jakie spędziła z Sheilą.

Lista pacjentów była tego wieczoru niedługa, lecz gdy wróciła do domu, było już ciemno.

Właśnie kończyła kolację, kiedy usłyszała dzwonek i musiała zejść na dół. Otworzywszy drzwi, zobaczyła stojącego w progu Bena. Wyglądał na zatroskanego.

- Dzięki Bogu, że jesteś - powiedział szybko.

Zanim zdążyła o cokolwiek spytać, poinformował ją, że został wezwany do wypadku przy głównej szosie do Tanwyth i poprosił, by z nim pojechała.

- Dobrze - odparła i pobiegła na górę po kurtkę i torbę lekarską.

- A dlaczego przyjechałeś właśnie do mnie? - spytała, gdy dojeżdżali na miejsce wypadku.

- To proste! Maurice jest już za stary, Sheila za daleko, a John nieuchwytny. W tej chwili mogłem liczyć tylko na ciebie. Poza tym chciałem, żebyś to była ty. Właśnie ty.

Nawet nie zauważyła, że zaczęli mówić do siebie po imieniu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Niebieskie światła dwóch wozów policyjnych migały w ciemnościach. W świetle ulicznych latarni Kate dostrzegła grupę ludzi stłoczoną przy głównej szosie do Tanwyth. Jeden policjant starał się utrzymać ich na miejscu, podczas gdy drugi usiłował nie dopuszczać ciągle napływających gapiów. Trzeci klęczał przy czymś, co wyglądało jak porzucone ubranie, a czwarty kierował ruchem, przepuszczając samochody obok rozbitego volvo.

Kate wyteżyła wzrok, próbując zobaczyć jak najwięcej. W tej chwili tuż przy miejscu wypadku zapalono reflektor. Widok był straszny.

Spostrzegłszy napis LEKARZ DYŻURNY na przedniej szybie samochodu Bena, policjant kierujący ruchem pozwolił im przejechać i wskazał miejsce, gdzie mogli zaparkować. Kiedy się zatrzymali, Ben schwycił obie torby, podał jedną z nich Kate i ruszył biegiem w stronę rannych. Podążyła za nim.

Teraz wszystko wydało jej się jeszcze straszniejsze. Na asfalcie widniały ślady krwi, a to, co wyglądało jak stos szmat, było ubraniem okrywającym młodego mężczyznę.

Klęczący przy nim policjant wstał, robiąc miejsce Benowi i Kate. Pochyliwszy się, by z bliska zobaczyć

rannego, Kate skonstatowała, że pomyliła się co do jego wieku. To był nastolatek. Jego brudne, podarte dżinsy pokrywała zakrzepła krew.

Podejrzewała złamanie obu nóg, zauważyła także sińce na twarzy i długie rozcięcie na czole. Bóg jeden wie, ilu chłopak doznał obrażeń, pomyślała, przyglądając mu się w milczeniu.

Leżał tak nieruchomo, jakby uleciało już z niego życie. Poczowała, że dławi ją w gardle, kiedy starała się dostrzec choćby najmniejsze poruszenie. Bez skutku. Chłopiec nie dawał żadnych oznak, że odczuwa ból, i Kate była niemal pewna, że nie żyje.

Rozpacz, jaką zawsze odczuwała w obliczu tak tragicznie zmarnowanego młodego życia, przyprawiła ją o mdłości. Trudno jej było zmusić się do zbadania ofiary, wiedziała jednak, że muszą to zrobić oboje, Ben i ona, zanim napiszą raport.

Ben szukał czegoś w swojej torbie.

- Mam go zbadać pierwsza? - spytała.

Podniósł na nią wzrok.

- Jeśli wolisz, mogę to zrobić ja.

- Nie.

Uśmiechnął się i to dodało jej otuchy.

- Obiecuj, że przerwiesz badanie, jeśli okaże się zbyt ciężkie. Spokojnie, Katie.

Zrozumienie, jakie brzmiało w jego głosie, i sposób, w jaki wymówił jej imię, napełniły ją ciepłem. Poczawszy przypływ odwagi, uśmiechnęła się do Bena lekko, włożyła chirurgiczne rękawiczki i skupiła uwagę na rannym.

Instynktownie poszukała tętna, choć była pewna, że go nie znajdzie. Ale gdy dotknęła nasady szyi w poszukiwaniu arterii, poczuła nagle pulsowanie. Było bardzo słabe, lecz wiedziała, że jeśli zadziałają szybko, uda się je wzmocnić. Nadzieja powróciła.

- Żyje, ale jest nieprzytomny - szepnęła, ustępując miejsca Benowi.

Teraz zwróciła się do policjanta, który klęczał przed chwilą przy rannym.

- Jak on się tu znalazł? - zapytała. - Czy ktoś go wyniósł z samochodu? - dodała ostro, myśląc ze strachem o szkodach, jakie można wyrządzić choremu przez brak doświadczenia i umiejętności.

- Przykro mi, ale nie umiem pani powiedzieć. Leżał tak, kiedy przyjechaliśmy. Przypuszczam, że siła uderzenia otworzyła drzwi i wypadł.

Uznała, że to sensowne wytłumaczenie. Drzwiczki auta były otwarte, wisiały krzywo najednym zawiasie.

- Ma pan jakieś pojęcie, kiedy to się stało?

- Nie. Przyjechaliśmy kwadrans temu, ale nie potrafię pani podać dokładnej godziny wypadku. Podobno zgłosił go jakiś mężczyzna, ale był w takim szoku, że z trudnością rozumieliśmy, co mówi.

- Oczywiście wezwał pan karetkę?

Policjant skinął głową.

- A gdzie jest drugi samochód? - zapytała, rozglądając się ze zdziwieniem.

- Nie było drugiego samochodu. Znaleźliśmy tylko ten. Musiał wpaść w poślizg, uderzyć w latarnię i wyładować po przeciwnej stronie szosy.

Ben delikatnie przemywał twarz rannego watą zanurzoną w roztworze wody utlenionej. Miał również przy sobie zastrzyki z różnymi środkami uśmierzającymi ból. Kate wiedziała, że nie będzie mógł ich użyć, dopóki pacjent nie odzyska przytomności. Jeśli doznał wstrząsu mózgu, zastrzyki przyniosą więcej szkody niż pożytku.

- Czy rozmawiał pan z tym człowiekiem, który go znalazł i dzwonił? - spytał Ben. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zamienić z nim parę słów. Każda informacja może się okazać przydatna.

- Boję się, że nic z tego nie będzie. Kiedy tu przyjechaliśmy, już go nie było.

- Ale przecież on jest świadkiem! - W głosie Bena brzmiała rozpacz. W świetle reflektorów Kate dostrzegła w jego oczach gniew zmieszany ze smutkiem.

- Tak naprawdę nie wiemy, czy widział sam wypadek. Mógł się pojawić w chwilę po zderzeniu.

Nadjechała kolejna grupa policjantów. Wskoczyli z radiowozu uzbrojeni w rozmaite przyrządy i zabrali się do pomiarów. W tej samej chwili Kate usłyszała syrenę karetki.

- Bogu dzięki - szepnęła, widząc sanitariuszy.

Jak zwykle zapytali o nazwisko ofiary. Gdy Kate rozpoczynała pracę, trudno jej było to zrozumieć, ale prędko zorientowała się, że jest to bardzo ważne - nie tylko ze względu na dokumentację, ale i samego poszkodowanego. Możliwość głośnego wymówienia nazwiska dawała poczucie bezpieczeństwa, pacjent stawał się jednostką, a pomoc czymś osobistym.

Jednak tym razem nie udało się ustalić danych ranego chłopca.

- Nie wiemy, kim jest - poinformowała jednego z sanitariuszy, przysuwającego nosze. Drugi niósł kropłówkę.

- W takim razie zróbmy to, co robią w takich wypadkach Amerykanie. Nazwijmy go Joe.

Rannego zaniesiono do karetki. Nagle chłopiec otworzył oczy i spojrzał wprost na Kate. Wydał jakiś dźwięk, więc pochyliła się nad nim, usiłując zrozumieć jego słowa.

- Prawie pan trafił - powiedziała do sanitariusza. - Ten młody człowiek oznajmił, że ma na imię John, ale nadal nie znamy jego nazwiska.

Zobaczyła, że Ben zmierza w ich kierunku.

- Chcesz pojechać z nimi karetką? Ustaliłem, że zabiorą go do Plymouth. Ja pojedę za wami samochodem i odwiozę cię potem do Lanbury.

Noc mijała godzina po godzinie, a gdy nadszedł świt, Ben i Kate nadal tkwili w Plymouth. Zaraz po przyjeździe do szpitala John ponownie stracił przytomność.

W końcu, upewniwszy się, że chłopiec jest w dobrych rękach i pozostawiwszy policji ustalenie jego tożsamości, Ben odwiózł Kate do domu.

Delikatnie wyjął z jej dłoni klucze, z którymi nie mogła sobie poradzić, i otworzył drzwi.

- Czy mogę cię teraz zostawić? - zapytał. - Przykro mi, ale muszę jechać. Czekają na mnie w domu.

- Czekają? - powtórzyła bezwiednie.

Sprawił wrażenie zmieszanego.

- To znaczy, moja gospodyni czeka. Zawsze się denerwuje, kiedy wyjeżdżam do wypadku. Uważa za swój obowiązek nie spać, żeby mnie nakarmić.

Kate milczała. Ten, kto na niego czeka, traktuje go jak małego chłopca. Może mieszka tam też inna kobieta? - pomyślała, czując ucisk w gardle.

- Daleko masz od domu? - zapytała.

- Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami.

- Bez powodu. Ciekawa jestem, czy dużo czasu zajmie ci powrót.

Uśmiechnął się do niej.

- Mój dom jest schowany w zaczarowanym lesie. To tajemnicze miejsce, jak z bajki. I chcę, żeby tak zostało - zakończył nieco ostrzejszym tonem.

Patrzyła na niego bez słowa, bo było jej przykro. Mówiła sobie, że musi się zachowywać jak dorosła kobieta, a nie jak nastolatka.

- Pójdę już spać - rzekła wreszcie - inaczej będę do niczego w przychodni. Dobranoc. Do jutra.

- Chcesz powiedzieć: do dzisiaj - zaśmiał się cicho.

- Kate, nie martw się tak bardzo o tego chłopca. Pozostaje nam tylko czekać.

Stał, wpatrując się w nią przez chwilę, i jakby nie mogąc opanować jakiegoś silnego impulsu, pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Dziękuję za wszystko.

Odjechał tak szybko, jakby popędzał go sam diabeł.

Po czterech godzinach snu Kate obudził ostry dzwonek stojącego przy łóżku telefonu. Było dopiero wpół do ósmej.

- Kate Frinton - powiedziała do słuchawki. - W czym mogę pomóc?

Usłyszała znajomy chichot, który mógł z siebie wydać tylko Maurice Gilmore.

- Dzwonię, żeby zapytać, jak się pani czuje po zavrwanej nocy, moja droga.

- Skąd pan wie? - spytała zaskoczona.

Znowu się zaśmiał.

- Powiedział mi pewien ptaszek.

- Pewnie Ben Alloway.

- Nie, choć rozmawiałem z nim. Miałem przed chwilą telefon ze szpitala w Plymouth.

- I co panu powiedzieli?

- Nie mogli się nachwalić pani i Bena.

- Co jeszcze mówili? - Głos Kate zabrzmiał ostro, bo nagle ogarnęły ją złe przeczucia.

- Wolałbym o tym nie mówić przez telefon, moja droga, więc może zgodziłaby się pani, żebym przyszedł?

- Kiedy?

- Mniej więcej za godzinę, chociaż wolałbym wcześniej, jeśli to możliwe.

- Proszę mi dać czas na prysznic i ubranie się - zaproponowała. - i nie musi się pan tu fatygować. Podjadę do Rowans. Będę miała dość czasu, żeby zdążyć do przychodni.

- Oczywiście, proszę wziąć prysznic, ale nie musi

się pani ubierać, wystarczy szlafrok. Po naszej rozmowie będzie pani mogła wrócić do łóżka. Poprzesuwałem dyżury, tak żeby pani mogła odespać noc.

- To niepotrzebne - zaprotestowała. - Z mojego powodu nie trzeba dezorganizować pracy w przychodni.

- Proszę mnie posłuchać, młoda damo! - Głos Maurice'a zabrzmiał stanowczo. - Może zechce pani przyjąć radę od starszego kolegi? Kiedy twierdzę, że musi pani odpocząć, wiem, co mówię. Co więcej, spodziewam się, że mnie pani posłucha.

- Dobrze, wygrał pan - zgodziła się, nie znajdując już żadnych argumentów. - Oczekuję pana za pół godziny.

- Z kawą?

- Z kawą.

Była gotowa, kiedy przyjechał, lecz gdy prowadziła go do salonu, znów zawładnęły ją złe przeczucia. Nałapała kawę do filiżanek i usiadła w fotelu naprzeciwko Maurice'a, wygładzając fałdy szlafroka na kolanach. Była sztywna ze zdenerwowania.

Miała nadzieję, że Maurice od razu przejdzie do rzeczy, ale zwlekał, słodząc i mieszając kawę, zanim upił pierwszy łyk.

- Doskonała. Może przypadkiem holenderska?

Skinęła powoli głowę, starając się opanować niecierpliwienie.

Zastanawiała się nad przyczyną jego wahania, aż wreszcie zrozumiała, że trudno mu jest z nią rozmawiać, i to jeszcze zwiększyło jej strach.

- O co chodzi, panie doktorze? Czy coś się stało z tym chłopcem w szpitalu? Coś, czego nie wiem?

Maurice westchnął i odstawił filiżankę.

- Tak, moja droga. Nie mogłem tego powiedzieć przez telefon. Lepiej, żebym to zrobił osobiście.

- To znaczy, że on umarł?

- Tak, Kate. Nad ranem. Niedługo potem, jak wychaliście z Plymouth.

Więc jej straszne przeczucie się sprawdziło!

- To okropne - rzekła półgłosem, powstrzymując łzy i próbując opanować narastający gniew.

Maurice pochylił się ku niej i położył dłoń na jej ręce.

- Powiem pani, czego się dowiedziałem o tym chłopcu. Może przyniesie to pani ulgę.

- Słucham - szepnęła.

- Poza obrażeniami nóg miał także uszkodzoną czaszkę. Wezwano naprawdę świetnego neurochirurga, ale nawet on nie był w stanie nic zdziałać. Urazy czaszki, jak wykazało drugie i trzecie prześwietlenie, były bardzo rozległe. Wydaje się, że poza obrażeniami, które zauważono od razu, odkryto także liczne drobne pęknięcia. To bardzo dziwne, Kate, ale niektóre z nich były dość stare, tak jakby coś takiego zdarzyło się już przedtem.

- Chodzi o inny wypadek samochodowy?

Maurice zawahał się.

- Niezupełnie. Okazało się, że ten chłopiec ma niezwykle cienką czaszkę. Lekarze z Plymouth podejrzewają, że te stare, częściowo zrosnięte pęknięcia mogły być spowodowane ciosami w głowę. Być może nawet zadawanymi dłońmi.

- O Boże! Co to znaczy?

Wpatrywał się w nią przez chwilę.

- To znaczy, że policja bada możliwość pobicia.

- Więc to może być przypadek zabójstwa - zauważyła Kate.

- Niekoniecznie. Prawdziwą przyczyną śmierci był wypadek. Trudno było poradzić sobie z nowymi obrażeniami. Drobne odpryski kości przedostały się do mózgu, powodując krwotok, który doprowadził do śmierci.

- Więc nie można było tego uniknąć?

- Boję się, że nie. Chirurg powiedział mi, że nawet gdyby chłopiec przeżył, nie mógłby normalnie funkcjonować. Spędziłby resztę życia na wózku inwalidzkim, bez kontaktu ze światem.

- Ale przecież, kiedy odwieźliśmy go do szpitala, wydawał się odzyskiwać siły. I zanim przeniesiono go do karetki, mówił do mnie! Jego głos był oczywiście przytłumiony, ale usłyszałam, że ma na imię John.

- To nie było jego imię. Musiało mu się wszystko pomieszać. Kiedy wieziono go na prześwietlenie, mówił od rzeczy, choć był przytomny.

- Kto to był?

- Policja ustaliła, że nazywał się Billy Cartwright i mieszkał za wrzosowiskiem. Miał dopiero czternaście lat. Jechał po kolegę, który go namówił do kradzieży samochodu.

- A jego rodzice?

- Miał tylko matkę, która nie umiała sobie z nim poradzić. Zdaniem policji dawno dała za wygraną.

- Biedactwo! Choćby była zupełnie nieodpowie-

działna jako matka, z pewnością jest zdruzgotana. Myśli pan, że powinnam ją odwiedzić?

- Nie, Kate, nie! Dostyc pani zrobiła. Nie może pani brać na siebie problemów całego świata. Pomoże jej lekarz, który się nią zajmuje. Chciałbym, żeby została pani w domu i odpoczęła. To samo powiedziałem Benowi.

Zabrzmiało to jak polecenie, więc Kate dała za wygraną. Nie była jednak zadowolona. Kiedy Maurice wyszedł, wciąż myślała o tej nieznajomej kobiecie. Choćby matka „Johna” mało troszczyła się o syna, teraz była człowiekiem pogrążonym w żałobie. Myśl o tym ścisnęła Kate serce i napełniała ją smutkiem.

Nie była także zadowolona ze zmian, jakie Maurice wprowadził w przychodni. John Smith miał zająć się jej pacjentami oprócz swoich, a Sheila Venables została poproszona o przyjęcie pacjentów Bena w Rowans.

Poczuła zmęczenie, przeciągnęła się i ziewnęła, po czym wróciła do sypialni i położyła się do łóżka. Wzdychając ze znużenia i frustracji, położyła głowę na poduszce i zasnęła.

Kiedy się obudziła, było zupełnie ciemno. Ktoś dzwonił do drzwi. Zapaliła lampkę przy łóżku i rozejrzała się wokół, nie rozumiejąc, co się dzieje. Budzik wskazywał ósmą, ale za oknem dojrzała ciemność. Co, u licha, się stało?

Jej zmęczony umysł budził się powoli. Przypomniała sobie, że kiedy się kładła do łóżka, był dzień. To było wczoraj, czy jeszcze dzisiaj?

- O mój Boże! - powiedziała głośno. Przypomniała

sobie wszystko, także grozę, z jaką przyjęła wiadomość o śmierci chłopca.

Dzwonek zadzwonił ponownie, więc włożyła szlafrok i zeszła na dół. Kiedy otworzyła drzwi, zabrakło jej tchu.

- Ben! Był kolejny wypadek?

- Nie, skarbie - odparł łagodnie, wchodząc do holu.

- Niepokoiłem się o ciebie. Przyjechałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Był tu już Maurice Gilmore. Powiedział, że zmienił godziny pracy w obu przychodniach, żebyśmy się mogli wyspać.

Gdy uśmiechnął się do niej, poczuła nagły przypływ radości. Chciała wyciągnąć do niego ramiona, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić.

- Chodź tu! - szepnął, przyciągając ją delikatnie do siebie. - Sprawiasz wrażenie zagubionej, Katie. Nie chcę widzieć smutku w takich pięknych zielonych oczach.

- On... umarł! - szepnęła, drżąc na całym ciele.

- To prawda, ale musisz przestać o tym myśleć. Inaczej nie będziesz mogła nic dać innym. Nie chcesz tego, prawda?

Pomyślała o małym Charliem i Tinie, córeczce pani Judd. Myśl ta napełniła ją ciepłem i wreszcie pozwoliła jej się uśmiechnąć.

- To już lepiej - mruknął Ben, przytulając policzek do jej włosów i przyciskając ją do siebie. - Dobrze jest coś czuć. Gdyby wszyscy lekarze mieli chociaż połowę twojego daru odczuwania, świat stałby się lepszy. Ale, Katie, nie zniszcz samej siebie poprzez nadmiar uczuć.

Poczuła na wargach delikatny dotyk jego ust.

- Dzięki, Ben - szepnęła. - Jesteś chyba jedynym człowiekiem, który rozumie, co się we mnie dzieje.

Patrzył na nią z łagodnym uśmiechem.

- Wracaj do łóżka. Zobaczymy się jutro.

I wyszedł, zostawiając w jej myślach chaos.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nagle i chwilami gwałtowne zmiany pogody nie przestawały dziwić Kate. Ponieważ wcześniej widziała Devon tylko latem, kiedy słońce nadawało jej skórze brązowy odcień, niemal odpowiadający barwie włosów, sądziła, że tutejszy klimat jest łagodny. Teraz, w połowie maja, grad bił w okno jej salonu. Gdy wyjrzała na dwór, zobaczyła połamane kwiaty i gwałtownie kołyszące się gałęzie drzew. Nawet wrzosowisko wyglądało groźnie; wzgórza i pagórki zniknęły za całunem mgły.

Przypominało to wszystko burzę, która rozszalała się w dniu jej przyjazdu do Lanbury. Wtedy, gdy Ben odwoził ją do domu swoim samochodem, także poczuła się zagrożona.

Zadrzała pod wpływem tego wspomnienia, więc otuliła się szczelniej szlafrokiem i zapaliła elektryczny kominiek. Dzięki Bogu była sobota i nie musiała się ubierać. W ten weekend nie miała dyżuru, jeśli więc nie wydarzy się jakiś wypadek, przesiedzi cały dzień w domu. Nie musi nawet robić zakupów, bo w piątek odstała swoje w kolejce w supermarkecie.

Poszła do kuchni, zrobiła sobie grzanekę i posmarowała ją grubo masłem i marmoladą pomarańczową. Kiedy śniadanie było gotowe, postawiła je na tacy i za-

niosła do salonu. Postanowiła, że później posprząta mieszkanie, na co nie miała czasu w tygodniu.

Kiedy skończyła jeść, grad ustał równie nagle, jak się zaczął. W tej samej chwili usłyszała dzwonek przy drzwiach.

Sądząc, że to Tilly przyszła po komorne, zbiegła na dół, szukając w myślach wymówki, żeby się nie wdać w pogawędkę. Ale kiedy otworzyła drzwi, słowa zamarłyjej na ustach.

- Ben! Co ty tu znowu robisz?

Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Udało mi się wreszcie zdobyć dla ciebie telefon komórkowy - oznajmił, wręczając jej wąskie pudełko. - i jeszcze to - dodał dziwnie onieśmielony, podając jej niewielką paczuszkę zawiniętą w papier do pakowania.

Pomyślała, że to pewnie książka. Ben przyjrzał się jej i niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak bawi? - zapytała z irytacją.

- Ty. Chyba się nie zdarzyło, żeby mi ktoś otworzył drzwi w szlafroku o tej porze.

- Uważasz, że powinnam być ubrana? Na litość boską, przecież jest sobota!

- Myślałem, że moglibyśmy pojechać razem po zakupy. Ostatnio nieźle nam poszło, jeśli pamiętasz.

Pamiętała, i to aż za dobrze. Pamiętała także te wszystkie dni, kiedy robiła zakupy bez niego - żałując, że go nie ma.

- Niczego nie potrzebuję - odparła krótko. - Wczoraj późnym wieczorem byłam w supermarkecie. Zresztą jestem zajęta sprzątaniami.

- Myślałem, że to należy do Tilly.

- Tak, ale lubię, żeby wszystko błyszczało. Nie chcę, żeby Tilly mnie wyrzuciła za brudy w domu!

Miała nadzieję, że Ben się roześmieje, on jednak sprawiał wrażenie przygnębionego.

- Mogłabyś przynajmniej obejrzeć, co ci przyniosłem.

- To prezent?

- Niezupełnie. Ale jeśli ci się spodoba, możesz za-
trzymać.

- No więc co to jest?

- Może otworzysz i zobaczysz?

- Wejdz na chwilę. Jest strasznie zimno.

- Och, nie chciałbym ci przeszkadzać w sprzątaniu.

Powiedział to poważnie, bez śladu drwiny, której się spodziewała.

- Sprzątanie może poczekać! - zawołała, biegnąc na górę. - Zamknij, proszę, drzwi, i daj mi chwilę na ubra-
nie się.

Miała właśnie wbiec do sypialni, kiedy stanął przed nią, zagradzając jej drogę.

- Nie będę czekał, aż się ubierzesz! To, co masz na sobie, zupełnie wystarczy. Usiądź spokojnie i otwórz paczkę.

Zachowywał się teraz podobnie jak David, który usi-
łował ją zdominować, używając ostrych słów, a ona dla świętego spokoju się poddawała.

Patrzyła na Bena tak samo wstrząśnięta.

- Jakim prawem mówisz mi, co powinnam, a czego nie powinnam?! - wybuchnęła.

Gdy spojrział na nią, w jego oczach odbiła się cała gama uczuć. Zdumienie mieszało się z rozpaczą, której nie była w stanie zrozumieć.

- Proszę cię, Kate! - odezwał się wreszcie. - Nie wiem, co ci się stało, i może nie powinienem pytać, ale czy możesz o tym zapomnieć i otworzyć paczkę?

Kate odwinęła papier. Na okładce widniało nazwisko Bena i tytuł: „Przewodnik po roślinach leczniczych”.

Położyła książkę na stole i zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, objęła go i mocno uścisnęła.

- Ben, jak cudownie! - zawołała i poczuła, że i on ją obejmuje. -i jak szybko! Wydawcy muszą być zadowoleni, inaczej nie wydaliby jej tak szybko!

Odsunął ją delikatnie, lecz nie puścił jej rąk. W jego oczach tańczył śmiech.

- Ależ jesteś impulsywna - zauważył cicho. - Muszę jednak przyznać, że podoba mi się twoja energia.

- I tak ma być! Musisz być z siebie dumny. Wydawcy zwykle sienie śpieszą, prawda? Pamiętam, ile trwało, zanim wyszła praca mojego ojca.

- Ach, ale on pisał książki naukowe, a to jest książka popularna. W każdym razie, kiedy się spotkaliśmy wtedy na wrzosowisku, wszystko było już prawie gotowe. Dodałem tylko kilka ilustracji.

Uznała, że jest zbyt skromny. Ponownie wzięła książkę i przeglądała ją przez jakiś czas, podziwiając rysunki Bena i czytając fragmenty tekstu.

- Hej! Jestem tu jeszcze! - dobiegł ją rozbawiony głos.

Podniosła oczy i nagle stwierdziła, że nie może ode-

rwać wzroku od jego spojrzenia. Pomyślała, że jest ogromnie niebezpieczny. Potrafił wywołać w niej cudowne uczucia po prostu patrząc na nią tak, że chciała pozostać na miejscu i kąpać się w ciepłe jego spojrzenia.

Jego twarz zmieniła się i Kate zobaczyła, że spoważniał. W chwilę później przyciągnął ją do siebie tak blisko, że poczuła na policzku jego oddech.

- Nie! - szepnęła cicho. - Proszę, nie!
- Dlaczego? Czy jest ktoś inny?
- Powiedziałam ci już, że był.
- Ale teraz?
- Nie. Nie ma nikogo.
- Więc pozwól mi się objąć, Katie. Proszę!

Nagle wydał jej się strasznie samotny i zagubiony. Poczwała, że jej serce topnieje - jak w przypadku cierpiącego pacjenta.

Ale Ben nie jest jej pacjentem, na miłość boską! Jest mężczyzną, którego najłżejszy dotyk wprawia ją w drżenie i który porusza ją jak nikt przedtem. Nawet bardziej niż David - jedyny człowiek, który miał na zawsze pozostać w jej życiu.

Położyła dłonie na ramionach Bena ze współczuciem, którego potrzebował.

- Wiem, co czujesz, Ben - szepnęła. - Musi ci być bardzo ciężko po stracie żony.

W jego oczach dostrzegła smutek, a po chwili żal. W końcu pojawiła się w nich złość. Zastanawiała się, co ją wywołało. Wszystkie jej myśli zniknęły, kiedy poczuła na wargach jego usta. Nie były delikatne jak

wtedy, po śmierci tego chłopca, lecz gwałtowne, wymagające. A kiedy przyciągnął ją do siebie, poczuła, że jego serce bije równie mocno jak jej własne.

Odwzajemniła jego pocałunek, wiedząc w głębi serca, że czuje coś, czego nie doświadczyła nigdy przedtem. W tej właśnie chwili obraz Davida opuścił ją na zawsze. Nagle jednak Ben się odsunął.

- Przepraszam, Katie, nie powinienem ci się narzucać. To niewybaczalne.

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

- To po prostu niemożliwe - dodał ze smutkiem. - A tak bym chciał, żeby było inaczej.

- Dlaczego, Ben? Powiedz mi dlaczego! Chyba tyle mi jesteś winien - W jej głosie brzmiał gniew.

Patrzył na nią przez długą chwilę, po czym usiadł na kanapie.

- Tak, jestem ci to winien - przyznał. - Mam nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego nie wolno mi się z tobą wiązać. Nie ze względu na mnie, ale ciebie.

- Więc proszę, mów.

Odetchnął głęboko.

- Kiedyś zdarzyło się coś, co będzie mnie prześladować do końca życia. Nie mogę się już do nikogo zbliżyć. Nie mogę oczekiwać, żeby ktokolwiek dzielił ten ciężar, który będę już zawsze niósł. Widzisz, jestem odpowiedzialny za śmierć mojej żony. Zabiłem ją!

Przez chwilę patrzyła na niego przerażona.

- Nie wierzę w to, Ben! Nie wierzę! Zastrzeliłeś ją albo pchnąłeś nożem?

- Oczywiście, że nie! Po prostu stałem i patrzyłem,

jak tonie. Byliśmy na wakacjach na północnym wybrzeżu Devon. Pływaliśmy w małej zatoczce. Nie było tam nikogo poza jakimś starym człowiekiem, który zresztą wkrótce poszedł, i poza małym dzieckiem, które uczyliśmy pływać. Było tak spokojnie, jak na zdjęciu w broszurze turystycznej.

Westchnął, a Kate pomyślała, że nigdy nie widziała nikogo tak smutnego jak on. Nagle oczy mu pociemniały, a w głosie zabrzmiała złość.

- Coś strasznego wydarzyło się w tej spokojnej zatoczce. Pogoda zmieniła się nagle, jak to się często zdarza na północy. Zerwał się wiatr i morze spieniło się, jakby się gotowało. Janice, moja żona, była przy mnie tak blisko, że mogłem jej dotknąć. W następnej chwili zagarnęła ją fala. Janice była doskonałą pływaczką i kiedy zobaczyłem, jak znika pod wodą, myślałem, że robi to dla zabawy. Zupełnie mi nie przyszło do głowy, że może być w niebezpieczeństwie.

Urwał i odwrócił głowę. Kate wiedziała, że zdoła uwolnić się od tej udręki tylko wtedy, kiedy opowie o swych przeżyciach do końca.

- Pobiegłem na brzeg z dzieckiem na rękach - ciągnął po chwili - położyłem je pod skałą, żeby osłonić je przed burzą, i obejrzałem się, ale Janice nie było widać. Wtedy zrozumiałem, że grozi jej niebezpieczeństwo. Podniosłem dziecko i pobiegłem w stronę domu, gdzie mieszkał jakiś człowiek. Nie pamiętam, który z nas zadzwonił do straży przybrzeżnej. - Przygarbił się, oczy mu pociemniały. - A potem... potem Janice już nie żyła.

Kate widziałajego mękę i dzieliła z nim jego ból. Po śmierci rodziców żaden z jej braci nie wyglądał tak strasznie. Udrękę Bena potęgowało poczucie winy.

Poczuła gniew na okrutny los, który przysparza ludziom tyle cierpienia.

- Nie wolno ci obwiniać się w ten sposób. Musisz pamiętać, że bez względu na to, co się stało, zrobiłeś wszystko, żeby ratować żonę.

- Doprawdy? Więc powiedz mi, dlaczego czuję się nadal winny. W końcu znaleziono Janice i naturalnie przeprowadzono sekcję. Podobno miała atak serca. Powiedziano mi, że był nieunikniony. Lekarz znalazł ślady zwężenia zastawki aorty. Jego zdaniem zastawka musiała być przezjakiś czas częściowo zablokowana. Prawdopodobnie doszło do zwężenia na skutek gorączki reumatycznej przebytej we wczesnej młodości. Nic o tym nie wiedziałem, a powinienem być!

- Skąd miałeś wiedzieć? Niejesteś istotą nadprzyrodzoną. Jesteś człowiekiem i masz wszystkie cechy, jakie się z tym wiąże. Również słabe strony.

Nie odzywał się i kiedy nie mogła już dłużej znieść milczenia, zdecydowała się dodać:

- Nie jesteś wyjątkiem, Ben. Setki ludzi dręczy poczucie winy z powodu czegoś, czemu nie byli w stanie zapobiec, ale z czasem się z tego wyzwalają. W przeciwnym razie czekają ich nerwice, a to już poważna sprawa.

Nie wiedziała, jak długo siedzi, trzymając go za rękę. Gdy poczuła, jak stopniowo rozluźniają się jego mięśnie, uznała, że może przerwać milczenie.

- Czy to z tego powodu chowasz się w tym tajemniczym lesie, o którym wspominałeś? I dlatego znikasz, zaraz jak tylko kończysz pracę w przychodni? Dlatego nigdy się nie udzielasz towarzysko?

Wyglądał, jakby powrócił z dalekiej podróży.

- Tak, moja droga. Dlatego też się ponownie nie ożeniłem. Jak mógłbym oczekiwać, że ktoś będzie znośił moje poczucie winy?

Wstał i odwrócił się gwałtownie, jakby nie mogąc znieść jej współczucia. Starła się go zrozumieć, mimo że zabołały ją jego słowa.

W chwilę potem usłyszała na schodach jego kroki, odgłos otwierania i zamykania drzwi. Ciszę przerwał dźwięk zapalnego silnika, samochód ruszył, i wreszcie znowu zapadła cisza.

Nie zostało jej nic, jedynie echo jego słów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kate nie wiedziała, jak jej się udało przeżyć następne tygodnie i nie zwariować. Kiedy Ben odszedł tak nagłe, opowiedziawszy jej o śmierci żony, zaczął w niej narastać gniew, który chwilami zamieniał się we współczucie dla siebie samej, aby wkrótce potem przejść w bolesny smutek spowodowany faktem, że Ben sam się niszczy.

Później te uczucia straciły na intensywności. Nie chcąc o nim myśleć, zajęła się pracą. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że Ben celowo jej unika. Sprawiało jej to ból i zarazem pomagało. Stopniowo nauczyła się traktować go jak kolegę, a nie jak potencjalnego kochanka. Rozmawiali z sobą tylko podczas zebrań lekarskich, po których zakończeniu Ben natychmiast spieszył się do domu.

W lipcu na jej liście pojawili się nowi pacjenci, w większości turyści spędzający w okolicy wakacje.

Pewnego ranka, siedząc przy biurku, przejrzała teczki swych stałych pacjentów, po czym wzięła do ręki listę przyjezdnych. Pierwszą z pacjentek była niejaka pani Armitage. Gdy Kate poprosiła ją do gabinetu, ze zdziwieniem zobaczyła, że towarzyszy jej mężczyzna i dziewczynka.

- Nie wiedziałam, że to potrójna wizyta - powiedziała pogodnie.

- Chodzi tylko o żonę, myjej dotrzymujemy towarzystwa. Jesteśmy tu na wakacjach i nie chcieliśmy zostawiać Bessie samej w pensjonacie. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. Może córka chciałaby się pobawić, kiedy będziemy rozmawiać? Może wziąć zabawki do poczekalni, tam jej przypilnują.

- Nie mamy nic przeciwko temu!

Kiedy dziewczynka wybrała misia i układankę, Kate zaprowadziła ją do June Cranworth, po czym wróciła pośpiesznie do swej nowej pacjentki.

- Boli mnie w boku i nie chce przestać - oznajmiła kobieta. - Nie chciałam pani zawracać głowy tak banalną sprawą, ale Bernard, mój mąż, się uparł.

- Skoro nie przestaje boleć, to z pewnością nie jest banalna sprawa - uśmiechnęła się Kate, mając nadzieję odegnać strach, który dostrzegła w oczach pacjentki.

- Od jak dawna odczuwa pani ten ból? I dokładnie w którym miejscu?

Pani Armitage przycisnęła dłoń do dolnej części brzucha po prawej stronie, i nagle się skrzywiła.

- No widzisz! Naprawdę cię boli - zauważył mężczyzna. - Co to jest, pani doktor?

- Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie zbadam żony dokładnie.

Zaprowadziła pacjentkę za parawan, żeby chora mogła się spokojnie rozebrać. Gdy położyła się na koźetce, sprawiała wrażenie przerażonej.

- Proszę się nie martwić - rzekła Kate łagodnie. - To nie potrwa długo; postaram się być ostrożna.

Przesunęła lekko palcami po brzuchu kobiety i spostrzegła, że pacjentka krzywi się z bólu przy dotknięciu okolic wyrostka. Na tym etapie trudno było określić, w jakim jest stanie, więc Kate posłużyła się słuchawkami. Poza zwykłymi odgłosami w żołądku nie wykryła jednak niczego. Ponieważ objawy były niejasne, bała się perforacji.

- Czy pani wymiotowała? Albo miała ostatnio rozwolnienie bądź zatwardzenie?

- Tak. Miałam silne wymioty przed wyjazdem, ale potem poczułam się lepiej. Wczoraj wieczorem wszystko się powtórzyło, ale myślałam, że to zatrucie.

- Czy mąż i dziecko też chorowali?

- Nie. Miałam zresztą zamiar trzymać się z dala od Bessie, żeby jej nie zarazić, ale wie pani, jak to jest w pensjonacie.

Kate znów dotknęła wrażliwego miejsca i kobieta ponownie skręciła się z bólu. Teraz nie było już wątpliwości, co należy robić. Poprosiwszy pacjentkę, by się ubrała, Kate podeszła do biurka.

- Co jej jest, pani doktor? - zapytał Bernard Armitage, kiedy żona wyszła zza parawanu. Jej bladość ustąpiła teraz miejsca silnym rumieńcom i Kate wiedziała, że nie ma chwili do stracenia.

- Moim zdaniem to zapalenie wyrostka robaczkowego, ale chciałabym poprosić o jeszcze jedną opinię. Naturalnie to oznacza konieczność pójścia do szpitala, żeby zbadał ją chirurg.

- Czy jest pani pewna? - Bernard Armitage sprawiał wrażenie zdziwionego.

- Prawie, ale chciałabym potwierdzenia diagnozy.

- A nie można z tym poczekać? Dopiero zaczęliśmy wakacje. I przyjechaliśmy tylko na tydzień.

Kate żałowała, że nie może pozwolić państwu Armitage cieszyć się cudowną pogodą. Patrząc na pacjentkę obejmującą rękoma swój obolały brzuch, wiedziała, że odwlekanie decyzji może być fatalne w skutkach.

- Przykro mi, ale nie mogę ryzykować - oznajmiła i zajęła się sprawami organizacyjnymi. Zadzwoiła do szpitala w Plymouth i połączyła się z jednym z lekarzy, których poznała owej nocy, kiedy zawiozła tam „Johna”. Zamówiła karetkę, dała też mapę panu Armitage, by mógł jechać za karetką i trafić z powrotem, gdy żona zostanie w szpitalu.

- A co z Bessie? - zapytał.

- W szpitalu mówią, że może ją pan zabrać. Być może przenocują pana i małą, gdyby nie miał pan ochoty wracać do pensjonatu.

- Naprawdę?

- Tak - odparła z uśmiechem. - Minęły już czasy, kiedy rodzinę odsyłano do domu po godzinach odwiedzin. W tej okolicy jest duży ruch, a personel medyczny rozumie, jak ważny jest dla chorych kontakt z bliskimi.

Ostatnim pacjentem tego dnia był Gordon Crisp, weterynarz, który mieszkał i praktykował na drugim końcu wsi. Był miłym człowiekiem w średnim wieku. Kate często spotykała go, kiedy spacerował z psami po wrzo-

sowisku, i wdawała się z nim w żartobliwe dyskusje na temat przewagi weterynarzy nad lekarzami.

- Cześć, Gordon - przywitała go z uśmiechem. - Co ci jest?

- Nic takiego. Złapałem głupie letnie przeziębienie, które wyleczę aspiryną. Muszę się wypowiedzieć - dodał, unikając jej wzroku.

- To idź do księdza - zaproponowała rozbawiona. - Albo do Stukniętego Borysa, jeśli wolisz. Ja się zajmuję chorobami ciała, nie duszy, jak wiesz. Więc cóż to za wyznanie?

- Przyszedłem prosić cię o przysługę.

- Ach tak? Nie mów, że któremuś z twoich pacjentów potrzebniejszy jest lekarz niż weterynarz.

- Skąd wiesz? Właśnie o to chodzi.

- Mów, co ci leży na sercu.

- Wiesz, że zajmuję się bezdomnymi zwierzętami. Szukam właściciela dla psa i pomyślałem...

- Że ktoś z moich pacjentów mógłby go wziąć?

- Nie! Nie oddałbym go nikomu, kogo nie znam. Pomyślałem o tobie.

Patrzyła na niego zdumiona.

- Nie, Gordon - powiedziała po chwili. - Stanowczo nie. Wynajmuję mieszkanie, nie mam ogrodu.

- Ale jeździsz samochodem, nawet chadzasz na spacerzy na wrzosowisko.

- Tak, kiedy mam czas. Ale ostatnio miałam go bardzo mało.

- To prawda, ale nie mów mi, że w twoim samochodzie nie ma miejsca dla Bazylego.

- Dla kogo?
- Dla ślicznego, miłego charta, który został straszliwie zbity, bo mu marnie poszło na wyścigach.
Poczuła, że jej opór słabnie.
- Och, biedactwo! Kto mu to zrobił? I kto, na litość boską, dał mu to niedorzeczne imię?
- Nie mam pojęcia - zachichotał Gordon. - Brzmi niemal po królewsku, ale pasuje do niego. To naprawdę księżę wśród psów. Więc jak, weźmiesz go?
- Pomyślę o tym - obiecała, wiedząc, że zapewne się zgodzi.
- Przyprowadzić ci go dzisiaj?
- Nie, absolutnie nie. Tilly dostałaby ataku. Jeśli zdecyduję się go wziąć, przyjadę do ciebie, ale najpierw muszę zmiękczyć Tilly. W końcu to jej meble będzie obgryzał.
- Nie będzie. Wyrósł już z tego.
- I nie brudzi w domu?
- Podobno nie, choć przez długi czas siedział zamknięty w szopie. Całkiem sam, biedaczek.
- Przestań, Gordon! To szantaż emocjonalny! Nie będę więcej ulegać uczuciom!
- Chcesz się założyć?
- Uśmiechnął się, wstając, po czym podszedł do drzwi, otworzył je i zderzył się z wchodzącym.
- Cześć, Gordon! - odezwał się jakiś głos i serce Kate zabiło szybciej, kiedy poznała Bena.
- Usiłowałem namówić Kate, żeby przygarnęła charta - poinformował go Gordon.
- I udało ci się?

- Ma się zastanowić.

Kiedy Gordon zniknął, Ben wszedł do gabinetu. Wydawał się daleki i obcy.

- Nie widziałam cię tak dawno, że prawie już zapominałam, jak wyglądasz.

Wiedziała, że zabrzmiało to dziecinnie, ale nic na to nie mogła poradzić. Żart przynajmniej ukrył udrękę, jaką odczuwała w jego obecności.

- Miłe powitanie, nie ma co!

- Nie miało być miłe. Myślałam kiedyś, że jesteśmy na tyle cywilizowani, żeby się widywać bez zobowiązań, ale najwyraźniej się myliłam.

- Bez zobowiązań? Mówisz jak sprzedawczyni, która pokazuje klientom próbki towaru.

- Ach, więc postanowiłeś w dodatku być nieuprzejmy? Nie wystarczy ci, że mnie ignorujesz? Doprawdy, Ben, można by pomyśleć, że postanowiłeś mnie ukarać. A przecież niczym na to nie zasłużyłam.

Widział jej gorycz i czuł się winny. Omal do niej nie podbiegł, nie ujął jej dłoni i nie powiedział, jak bardzo jej pragnie. Nie znalazł jednak w sobie dość odwagi. I całe szczęście, to by oznaczało katastrofę - nie tylko dla niego, ale i dla niej.

- Przepraszam, Kate - powiedział wreszcie. - Miałem fatalny ranek.

- I co z tego? Większość lekarzy nie ma lekko.

Uśmiechnął się, po czym spoważniał. Jedyne sposobem, by poradzić sobie z kłębiącymi się w nim uczuciami, to nie angażować się. Przecież nie chce złamać serca tej cudownej kobiecie.

- Co tu robisz, Ben? - spytała, przerywając milczenie. - Chyba mi nie powiesz, że przyszedłeś towarzysko?

- Nie, przyszedłem z wiadomością od Maurice'a.

- Nie mógł zadzwonić?

- Powiedział, że nic nie zastąpi kontaktu osobistego. Maurice ma wielką siłę perswazji, więc zawiadamiam wszystkich po kolei, że w Rowansjest dziś nadzwyczajne zebranie.

- Po południu?

- Nie, wieczorem, po zamknięciu przychodni. Około ósmej, jeśli możesz. Maurice uważa, że lepiej się spotkać później, bo to może trochę potrwać.

- Powiedz mu, że przyjdę.

Ben wahał się przez chwilę.

- Chcesz, żebym po ciebie przyjechał?

- Nie, dziękuję - odparła chłodno.

Odwróciła się i zaczęła porządkować papiery na biurku.

Jej plan unikania Bena zaczął zawodzić. Tego wieczoru po kolacji samochód nie chciał zapalić. Zadzwoniła do Maurice'a, by mu powiedzieć, że się spóźni, bo będzie musiała przebyć całą drogę na piechotę.

- Nie ma potrzeby, moja droga. Ben przyszedł wcześniej, więc przyślę go po panią.

Czuła, że odmowa byłaby nieuprzejma. Kiedy Ben się wreszcie pojawił, zachowywał się jak ktoś obcy. Bez słowa otworzył drzwiczki samochodu. Usiadła obok niego w milczeniu. Również w milczeniu dojechali do

przychodni i bez słowa weszli do pokoju, w którym odbywało się zebranie. Wszyscy już byli na miejscu, więc usiadłszy jak najdalej od Bena, zaczęła przeglądać swoje notatki.

Maurice otworzył zebranie i zachęcił obecnych do omówienia przypadków, o których chcieli go poinformować. Kiedy przyszła jej kolej, Kate wspomniała o Maisie Brown, podkreślając, że pacjentka jest w dobrej formie. Maurice zajrzał do swoich notatek.

- Widzę, że analiza krwi nie wykazała niczego poza zwykłą anemią. Co jej pani teraz daje?

- Początkowo brała zastrzyki z witaminy B 12, teraz dostaje żelazo w tabletkach.

- Widzę, że ją pani regularnie odwiedza. Czy jest jakiś specjalny powód?

- Nie - uśmiechnęła się Kate. - Chociaż zgłasza się regularnie do naszej poradni dla kobiet, chcę pilnować, żeby się właściwie odżywiała.

- A ta ciąża, o której nie wiedziała?

- Wszystko dobrze. Jest w siódmym niebie.

- Świetnie, doskonale. Czy jest jeszcze ktoś, o kim chciałaby pani porozmawiać, zanim przejdziemy do innych spraw?

- Chciałabym się jeszcze poradzić co do pacjentki, którą już omawialiśmy. Może pan pamięta: to pani Burrows, ta, co zrobiła awanturę jakiś czas temu. Zanim ją przejął, sugerowano jej pomoc psychiatryczną, ale ona się nie zgodziła. Myślę, że być może odkryłam fizyczną przyczynę jej dziwnego zachowania, ale nie udaje mi się z nią skontaktować.

- Pamiętam ją! - wtrącił John Smith. - Nie zdołałem nic wskórać. Powinna się wziąć w garść i tyle - dodał ostro.

Kate ogarnęło oburzenie. Ben, który dotychczas nie odezwał się ani słowem, spiorunował wzrokiem młodego lekarza i zapytał Kate, jakie objawy odkryła u pacjentki.

- Zanim wyszła z pielęgniarką, zauważyłam wytrzeszcz oczu i obrzęk na szyi. Myślę, że to może wskazywać na chorobę Basedowa.

- Doprawdy? - spytał Maurice. - Czy ma pani dużo doświadczenia z tą dolegliwością?

- Niewiele. Raz tylko spotkałam się z wolem i wytrzeszczem i wiem, że to się często wiąże z nadpobudliwością. Ale jak już powiedziałam, nie udało mi się dokładnie zbadać pani Burrows ani skierować jej na badanie, bo zniknęła. Oczywiście telefonowałam do niej, ale stanowczo odmówiła przyjęcia do mnie. Nie widziałam jej od tamtego czasu i to mnie martwi.

- Zrobiła pani wszystko, co można - uśmiechnął się Maurice. - Może teraz ja powinienem zadziałać z wysokości swojego urzędu. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, dam jej skierowanie do specjalisty. Znam kogoś w Exeter. Jest świetny.

Kate podziękowała mu i nie zabierała więcej głosu, bo zdołała sama rozwiązać inne problemy. Udało jej się poskromić groźną panią Judd, która zaprzyjaźniła się z panią Webb - niegdyś pogardzaną sąsiadką. A odkąd pani Webb zdołała opanować swą nienaturalną potrzebę ustawicznego sprzątnania, obie kobiety odwiedzały się regularnie i gawędziły przy herbacie.

Zebranie dobiegło końca i Sheila Venables wyszła, zanim Kate zdążyła ją poprosić o podrzucenie do domu, więc odwiózł ją Ben. Nadal się nie odzywał.

Kiedy zatrzymali się pod jej domem, popatrzył na nią i niespodziewanie oznajmił:

- Kate, chciałbym na chwilę wejść.
- Dlaczego? - zapytała dość ostro i odsunęła się od

niego.

Przyciągnął ją do siebie.

- Muszę ci powiedzieć coś ważnego.
- Ach tak?
- Tak. Są dwie sprawy, o których nie było mowy na

zebraniu.

Nie mogła dłużej znieść napięcia.

- W takim razie chodź. Zrobię kawę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy stali na stopniach przed domem, Kate poczuła się nieswojo. Zapraszanie Bena na kawę jest z pewnością szaleństwem. Naprawdę bała się zostać z nim sama.

- Więc cóż to za pilna wiadomość? - zapytała.

- Nie tutaj. Głosy mają niedobry zwyczaj niesienia się w nocy. Wejźmy do domu, dobrze?

Otworzyła drzwi i pobiegła na górę. Nastawiła ekspres do kawy i patrzyła na wchodzącego Bena. Sprawiał wrażenie tak pogrążonego w myślach, że chyba jej nie widział.

- No więc kiedy dowiem się tego, o czym nikt nie wspomniał na zebraniu?

- Kiedy będziesz gotowa przyjąć do wiadomości fakt, że jeden z twoich kolegów stał wyjeżdża.

Nie wiedziała, jak długo stała bez słowa. Była jedynie świadoma walki uczuć, która sprawiała, że brakowało jej tchu. Czuła lodowaty chłód w sercu i nie wiedziała, co robić. Nie miała wątpliwości, kogo Ben ma na myśli i zaciskała pięści, czekając, aż wymówi swe imię.

Ale on milczał uparcie. Nie była w stanie tego znieść.

- Kto wyjeżdża, Ben?

- Wszystko w swoim czasie - odparł z uśmiechem,

który wydał jej się nie na miejscu. - Napijmy się najpierw kawy.

Była zdumiona, że jego głos brzmi tak zwyczajnie, podczas gdy to, co ma powiedzieć, będzie dla niej druzgocące. Starając się na niego nie patrzeć, postawiła na tacy filiżanki, cukier i dzbanuszek z mlekiem. Poprosiła Bena, żeby wziął dzbanek z kawą i poszła do salonu. Postawiła tacę na stoliku przy kanapie i usiadła. Czowała się niepewnie, a kiedy Ben usiadł obok, wyciągając przed siebie nogi, myślała, że zacznie histerycznie krzyczeć.

Wiedziała, że Ben przygląda jej się, kiedy nalewała kawę. Z rozpaczy drżały jej ręce i starała się to ukryć.

Jak sobie poradzi, kiedy on wyjedzie? Co zrobi, kiedy on zabierze z sobą całą tę cudowną delikatność, będącą częścią jego samego?

Nagle pojawił się obraz nie znanego jej domu w lesie. Ponieważ nigdy go nie widziała, spowijał go cień i tajemnica. Wiedziała jednak, że jest piękny, i pragnęła w nim zamieszkać z Benem.

Z wysiłkiem zdołała oddalić te myśli. Są niebezpieczne. Obsesyjne. Niepotrzebne. Już kiedyś związała się z lekarzem, dzięki któremu czuła się kimś wyjątkowym, i który odszedł z jej życia, bo nie chciała przystać na jego warunki.

- O czym tak myślisz? - zapytał, podnosząc filiżankę do ust.

- O niczym specjalnym - skłamała.

- Jesteś gotowa słuchać?

Zagryzła wargi. Miała ochotę krzyczeć, powiedzieć

mu, że jest szalony, myśląc, że poradzą sobie bez niego, kiedy wyjedzie z Lanbury.

- Tak, oczywiście, jestem gotowa.

Widziała jego poruszające się usta, ale nie słyszała, co mówi, bo ponure myśli tłukły się w jej głowie, blokując uszy.

- No więc co o tym myślisz? - zapytał, a ona z trudem wróciła do rzeczywistości.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie rozumiem, co mówisz.

- Nie słuchałaś, prawda? Byłaś pełna czarnych, smutnych myśli. Na litość boską, opowiedz mi o nich! I pozbadź się ich!

Zirytowała ją złość w jego głosie i nagle zapragnęła, by wstał i wyszedł. Od razu, zanim wypije kawę. Ale wewnętrzny głos upomniał ją, żeby nie była dziecinna.

- Zastanawiałam się, jak to będzie bez ciebie, jak sobie poradzimy.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- To właśnie dowodzi, że nie słuchałaś! Dlaczego sądzisz, że wyjeżdżam?

- Nie wyjeżdżasz? Ale powiedziałaś...

- Jak zawsze, wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

- Uśmiechnął się z dezaprobatą.

- Przepraszam. To jedna z moich największych wad.

- Nie masz za co przeproszać, Katie. To część ciebie. Jesteś tak cudownie uczciwa.

Znów nazywała ją Katie, a jego głos brzmiał tak łagodnie, że ledwie mogła to znieść.

- No więc kto wyjeżdża? - zapytała, kiedy już mogła na niego spojrzeć.

- Dwie osoby. Siostra Koliński, ale tylko na półroczny urlop. Jak pewnie wiesz, jej dziadek był Polakiem, który podczas wojny uciekł do Anglii i został lotnikiem.

- Czy dużo przecierpiał w czasie okupacji?

- Tak, jak ci wszyscy dzielni ludzie. Wielu jednak zdołało uciec i służyli swoim rodakom, walcząc u boku Anglii, którą uznali za swój kraj.

„Krew i odwaga”, powiedziała Mary. Teraz Kate rozumiała dlaczego. Mary obiecała, że jej kiedyś o tym opowie, ale dotychczas nie nadarzyła się okazja.

- Czy dziadek Mary był Żydem? - zapytała.

- Nie. Był jednym z tych, którzy walczyli o wolność. Mary uznała, że nadszedł czas, żeby odnaleźć rodzinę.

- Będzie mi jej strasznie brak - westchnęła.

- Nie martw się, wróci - uśmiechnął się Ben. - Pewnie z całą zgrają krewnych, jak ją znam.

- Mam nadzieję. A kto jest tą drugą osobą, która wyjeżdża?

- John Smith. Lekarz, który uważał, że go szpiegujemy.

- A tak było?

- I tak, i nie. Dla jego własnego dobra Maurice i ja mieliśmy go na oku. Zauważyliśmy pewne niedociągnięcia, ale nie takie, żeby go prosić o odejście.

- Dlaczego Maurice nic nie powiedział na zebraniu?

- Bo John go o to prosił.

- A dlaczego odchodzi?

- Z wielu powodów. Nigdy tu naprawdę nie pasował. I myślę, że w końcu zrozumiał, że się nie nadaje, więc sam zdecydował się odejść.

- Biedny John! Jeśli go gdzieś zatrudnią jako lekarza ogólnego, historia może się powtórzyć.

- To prawda, ale chyba to przewidział, bo postarał się o pracę w firmie farmaceutycznej. I dostał ją. Będzie o wiele lepszy, pracując za biurkiem i nadzorując wyroby medyczne, niż lecząc ludzi, których nigdy nie potrafił zrozumieć.

Kate przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń. Wreszcie zdała sobie sprawę, że Ben przygląda się jej z powagą.

- O ci chodzi? - zapytała bez tchu.

- O nas, Katie. Unikamy się, jesteśmy mniej niż przyjaciółmi. Nie mogę tego znieść!

Spojrzała na niego i stwierdziła, że nie jest w stanie oderwać wzroku od jego oczu.

Zanim się zorientowała, co się dzieje, trzymał ją w objęciach, tak samo jak owego dnia, kiedy dał jej swoją książkę. Pocałował ją wtedy, ale pamiętała również, jak ją odsunął, niszcząc uczucie bliskości między nimi.

Gdy zaczął ją całować, nie potrafiła się oprzeć jego ustom. Miała wrażenie, że jej ciało topnieje. Świat przestał istnieć, ulatywała gdzieś w niebo wypełnione marzeniami.

Ale marzenia powoli się rozwiewały. To mi się nie może przydarzyć, myślała. Ani temu mężczyźnie, który należy do kogo innego.

Przypomniała sobie tę chwilę, kiedy spieszył się do domu, mówiąc, że na niego czekają. Starła się wierzyć, że to przejęzyczenie, ale nigdy jej się to nie udało. Od tej pory wyobrażała sobie dwie osoby dzielące z nim dom. Jedną z nich była gospodyni, druga pozostawała tajemnicą. W wyobraźni Kate przybrała postać młodej i bardzo pięknej kobiety. Inaczej dlaczego by się chował w tym przeklętym lesie?

Nagle poczuła irytację. To, czy ta kobieta istnieje, jest bez znaczenia. Ben nie jest wolny. Cokolwiek się zdarzy, zawsze będzie przy nim widmo zmarłej żony, żywe w jego myślach niczym upiór pragnący go zniszczyć.

- Ben - zapytała - co my robimy?

- Miałem wrażenie, że się całujemy - mruknął rozbawiony.

- Ale... nie powinniśmy.

- Dlaczego?

Czyżby zapomniał, jak ją odsunął od siebie?

- Bo mi powiedziałeś, że to niemożliwe - odparła łamiącym się głosem.

Przez jego oczy przesunął się cień, sprawiając, że stały się niemal czarne.

- Wiem - przyznał cicho - ale jakoś nie mogę się z tym pogodzić. Potrzebuję cię, Katie. Bardzo.

W jego głosie była rozpacz. Błaganie. Jak może mu odmówić?

Była na tyle dorosła, by rozumieć, czego chciał, i wiedzieć, jakie katusze cierpi mężczyzna, kiedy kobieta pociąga go fizycznie. Na litość boską, ona przecież

też ma potrzeby, pragnienia równie bolesne jak jego. Jej opór nagle znikł. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, a potem wymówiła jego imię. Nic więcej.

- Ben? - Nadała temu słowu intonację pytającą.

Dźwięk jej głosu zdawał się wisieć w powietrzu, a potem Ben wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

W nocy usłyszała, że się porusza, i wyciągnęła rękę w jego kierunku, ale miejsce obok niej było puste. Zapaliła światło i zeszywniała, zobaczywszy, że Ben się ubiera, odwrócony do niej plecami.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

Kiedy zobaczyła jego twarz w ciepłym blasku lampy, ogarnęła ją panika.

- Przepraszam, nie chciałem się obudzić.

- Czy było jakieś wezwanie, kiedy spałam?

- Nie, Katie. Po prostu muszę iść do domu.

Poczuła głębokie przygnębienie, zabijające czar tego, co właśnie przeżyli.

- Dlaczego? Na litość boską, Ben!

- Idę, bo muszę - odparł, nagle poirytowany. - Chyba potrafisz to zrozumieć?

Nie potrafiła. Nie teraz, kiedy tyle się stało między nimi. W nocy, kiedy leżała, słuchając jego oddechu, miała uczucie, że przeżywa coś cudownego. Wiedziała, że Ben nie szuka miłości, ale kiedy oboje wzbili się na szczyty rozkoszy, mogła przysiąc, że dotknęła jego duszy.

Więc nic nie czuł? Nic poza czysto fizyczną namiętnością? Czy jego serce jest tak przepełnione obrazem

nieżyjącej żony, że nie dostrzega kobiety, z którą się kochał?

- Nie idź, Ben! Zostań ze mną.
- Nie mogę. Wiesz dobrze, że muszę.

Wezbrała w niej gorycz.

- Wykorzystałeś mnie - powiedziała zmienionym głosem. - Dziś wieczór pierwsza lepsza byłaby dobra. Dlaczego musiałam być ja?

Spodziewała się, że będzie równie zły jak ona, on tymczasem spojrzął na nią z głębokim smutkiem i usiadł na brzegu łóżka. Po chwili pochylił się ku niej i wzięwszy jej twarz w dłonie, pocałował delikatnie w usta.

- Katie, proszę. Nie znenawidź mnie. Być może zasłużyłem na to, bo zniszczyłem ci spokój, ale nie wykorzystałem cię. Nigdy się nie dowiesz, ile dla mnie zrobiłaś, jak przywróciłaś mi znowu wiarę w życie.

Wyszedł tak cicho, że niemal nie słyszała jego kroków na schodach. Została sama z echem jego słów w pamięci. Słów, które nie dawały się wymazać.

Wiedziała, że musi się ich pozbyć, jeśli ma odzyskać spokój.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kate nie potrafiła oprzeć się urokowi Bazylego. Kiedy go zobaczyła w ogrodzie Gordona Crispa, natychmiast się w nim zakochała,

- Ach, jaki jesteś śliczny. Śliczny - szepnęła, kłękając na trawniku, klepiąc łeb psa i głaszcząc jego jedwabiste uszy. Uniósł ku niej pysk i spojrzała w parę brązowych, przejrzystych oczu. Uśmiechnęła się do niego, a on popatrzył na nią, jakby rozumiał, że bardzo jej się podoba.

Kiedy poczuła ciepły język liżący jej dłoń, podniosła wzrok na Gordona.

- Przyszłam powiedzieć, że nie mogę go wziąć, choć Tilly nie ma nic przeciwko temu.

- To załatwia sprawę. - W głosie Gordona brzmiało rozczarowanie.

- Wcale nie! Zmieniłam zdanie.

- Kiedy?

- W tej chwili. Drań z ciebie, Gordon. Wiedziałeś, że zmięknę, jak go zobaczę, prawda?

- Miejmy nadzieję, że to nie będzie przelotny romans.

- Jestem przeciwna romansom - roześmiała się.

- Rozumiem - odparł poważnie - jesteś wierna.

- Jeśli chodzi o zwierzęta, tak.
- A o ludzi?
- To inna sprawa. I wolałabym jej nie omawiać.
- Naturalnie. Przepraszam, nie chciałem być wścibski. Więc na czym stoimy?
- Zbiorę Bazylego do domu, a potem pojedę do Tanwyth kupić mu jedzenie, kosz, smycz i koc.
- Nie ma potrzeby. - Gordon przykucnął obok, głaszcząc kark psa. - Majuż wszystko.
- Więc muszę ci za to zapłacić. I za psa.
- Ani mi się waż! Wystarczy, że wpłacisz coś na pomoc dla zwierząt.
- Jesteś dla mnie za dobry.

- Och, tu wcale nie chodzi o ciebie, tylko o psa.
Kate roześmiała się i podziękowawszy mu za włożenie rzeczy do bagażnika, założyła Bazylemu smycz i pomogła mu wsiąść do samochodu.

Pies siedział obok niej i miał iście królewski wygląd. Przez całą drogę do domu zachowywał się bez zarzutu. Kiedy otworzyła drzwi do mieszkania, wszedł z godnością na górę, obiegł pokoje i ułożył się na łóżku Kate.

- O nie! - zawołała, spychając go lekko. - Twoje miejsce jest w kuchni, mój panie. Będziesz tam spał w koszu.

Ale Bazylemu nie podobał się ten pomysł. Wzgardziwszy kuchnią, pobiegł do salonu, położył się przed kaminem i nie pozwolił się stamtąd ruszyć. Kate przyniosła mu tam w końcu kosz, śmiejąc się z uporu zwierzęcia i własnej słabości. Pies spoglądał na nią, przekrzywiając łeb, jakby zastanawiał się nad tym, co do

niego powiedziała. Potem szczerknął i umościł się w kosszu, patrząc na nią z miłością.

- Więc mnie apróbujesz? Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy.

Wcale nie wydawało jej się głupie to, że zwraca się w ten sposób do psa. To prawie jak druga osoba w domu, pomyślała. I z pewnością jego obecność przynosiła jej ulgę w męce, jaką odczuwała od owej nocy, kiedy Ben tak nagle ją opuścił.

Od tamtego czasu nie miała z nim kontaktu poza spotkaniami w przychodni, kiedy śpieszył się, żeby wyjść. Na szczęście była zbyt zajęta, by o nim wciąż rozmyślać. Każdą wolną chwilę spędzała z Bazylim na wrzosowisku. Zabierała go także do przychodni, gdy wiedziała, że późno wróci do domu. Pies spędzał większość czasu, śpiąc w recepcji, a June podkarmiła go zakazanymi smakołykami. Kiedy Kate jeździła do pacjentów, zabierała go z sobą; czekał na nią cierpliwie w samochodzie.

Gdy nadszedł czas wyjazdu Mary, pracownicy wydali na jej cześć przyjęcie w salonie Maurice'a w Rowans. Tutaj wreszcie Kate stanęła twarzą w twarz z Benem. Ale i teraz nie było czasu na więcej niż przywitanie, bo prawie zaraz wyszedł, spróbowałszy jedynie tortu.

Kiedy przyszła kolej na Johna Smitha, urządził przyjęcie w New Barling. Ben pojawił się ponownie i nawet się do niej uśmiechnął, zobaczywszy Bazylego.

- Widzę, że Gordon ostatecznie cię przekonał - uważał. - To stary szantażysta.

Po czym pośpieszył w stronę wyjścia, jakby nie miał ani chwili do stracenia.

Kate znajdowała w tym okresie wiele satysfakcji w pracy z pacjentami. Pani Armitage wyszła ze szpitala i wróciła do Lancashire - nie zapominając o pozostawieniu kartki z podziękowaniami w recepcji. Większość małych pacjentów, którzy zapadli na odrę, już wyzdrowiała - wśród nich był Charlie Webb. Nawet córeczka pani Judd, „nasza Tina”, jak o niej myślała Kate, skończyła chorować na ospę i udało jej się nie zarazić odra.

Ale tym, co ucieszyło Kate najbardziej, była wizyta dwóch poprzednio skłóconych rodzin. Pewnego dnia przed południem, gdy wyszedł ostatni pacjent, obie matki pojawiły się wraz z dziećmi i z nieśmiałym uśmiechem wręczyły Kate ogromny bukiet, na który na pewno nie mogły sobie pozwolić.

- Czym sobie na to zasłużyłam? - spytała, napełniając wazon wodą i stawiając kwiaty na biurku.

- Dwoma rzeczami - odparła pani Webb. - Po pierwsze jest pani najlepszym lekarzem, jakiego miałam, a po drugie znalazła mi pani przyjaciółkę na tym samym osiedlu. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Peggy Judd się wyprowadziła.

To prawdziwy sukces, pomyślała Kate, uśmiechając się do obu kobiet.

Niedługo potem Maurice wyznaczył datę na rozmowę z kandydatami do objęcia miejsca, które opuścił John Smith. Choć Kate jako najmłodsza nie miała z tym nic wspólnego, poprosił ją, by przyszła.

- Oczywiście będzie ze mną Ben - zaznaczył. - Poprosiłem też Sheilę Venables, ale niestety nie może przyjść.

- Naprawdę jestem potrzebna? - upewniała się Kate, przekonana, że zaprosił ją tylko z uprzejmości. - Nie chciałabym przeszkadzać.

- Co za nonsens! - Maurice zmarszczył brwi. - Jest pani absolutnie niezbędna. Nowy lekarz będzie spędzał większość czasu w New Barling, z panią, więc lepiej żeby go pani sprawdziła.

- Nie zgłosiła się żadna kobieta?

- Nie, sami mężczyźni. Wolałaby pani pracować z kobietą?

Wzruszyła ramionami.

- Nie robi mi to różnicy.

Pewnego niedzielnego popołudnia, na dzień przed rozmową kwalifikacyjną, Maurice pojawił się w mieszkaniu Kate. Uśmiechnęła się do niego, otwierając drzwi, ale spoważniała, widząc jego zafrasowaną minę.

- Co się stało?

- Ben Alloway, ot co. Nie mogę go nigdzie złapać. Zmieniły się godziny jutrzejszych rozmów i muszę go zawiadomić, ale gdzieś przepadł. Jego telefon nie działa, a komórkę wyłączył.

- A dlaczego nie podjedzie pan do niego?

- Nie mogę, więc przyjechałem zapytać, czy pani by do niego nie pojechała. Napisałem wszystko w liście. Jeśli pojedzie pani zaraz, Ben zdąży przekładać wizyty.

Podał jej kopertę.

- Chętnie to zrobię - oznajmiła - ale nie wiem, gdzie mieszka.

- Naprawdę? - spytał zdziwiony. - Wiem, że ceni sobie prywatność, ale sądziłem, że pani powiedziała.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego jest taki tajemniczy?

- Tak, moja droga, ale skoro pani nic nie mówił...

- Och, wiem, że trudno mu ścierpieć gości od czasu śmierci żony. Zastanawiałam się, czy jest jeszcze coś innego, co sprawia, że tak się odgradza od wszystkich.

- Owszem, ale naprawdę nie mogę zawieść jego zaufania, Kate.

- Oczywiście - zgodziła się. - Ale to znaczy, że nie będzie zadowolony, kiedy się pojawię.

- Nic na to nie poradzimy. Koniecznie trzeba się z nim skontaktować.

- A jutro? Przed jego porannymi godzinami przyjąć? Będzie miał też dość czasu, żeby odwołać wizyty.

- Jutro pracuje dopiero wieczorem. Ma wolne przedpołudnie.

Westchnęła. Wzięła od Maurice'a kartkę z adresem i wraz z listem włożyła do torby. Narzuciła na siebie lekki sweter, zawołała Bazylego i pojechała do Soo Hutton, wsi, w której nigdy przedtem nie była.

Przejechawszy wzdłuż rzędu domków, znalazła się ponownie w otwartym terenie. Nigdzie nie było widać ani śladu domu, którego szukała. Wreszcie dostrzegła niewielki las złożony ze starych, pokrzywionych drzew.

Czyżby to był ów tajemniczy las Bena? Na słupie zobaczyła tabliczkę z napisem „Honeywell House”. Była na miejscu, ale drzewa rosły tak gęsto, że zastanawiała się, jak przejdzie przez ich gąszcz.

Bazyli zaszczekał niecierpliwie, więc przypięła mu smycz.

- Chodź, piesku! Zapuścimy się w tę dżunglę - powiedziała, kierując się w stronę drzew w nadziei, że znajdzie wśród nich dom.

Kiedy znaleźli się w środku lasu, Bazyli przysiadł przy króliczej norze i nie chciał się ruszyć.

- Chodźże, nie mamy czasu!

Pies wreszcie wstał i ruszył za nią. Las był tak gęsty, że nie docierało tu słońce. Wszędzie słychać było trzepot skrzydeł i głosy ptaków.

To miejsce istotnie miało w sobie łagodny czar.

Szła dalej, aż znalazła się na polanie.

W głębi stał stary dom.

Stanęła, patrząc na dwupiętrowy budynek ze starych kamieni, który lśnił w słońcu. Wydał jej się tak piękny, że wpatrywała się w niego jak urzeczona.

Przed domem rozpościerał się okrągły trawnik otoczony białym płotem z dwiema furtkami. Od domu biegł zwirowany podjazd, najwyraźniej prowadzący do drogi, której Kate w pośpiechu nie zauważyła.

W chwilę potem spostrzegła idącą w jej kierunku dziewczynkę; oceniła, że może mieć jakieś osiem, dziewięć lat. Kiedy dziecko zaczęło biec, zobaczyła, że utyka na prawą nogę.

Początkowo Kate pomyślała, że mała się bawi i udaje

konია, ale kiedy dziewczynka znalazła się bliżej, stwierdziła, że jednak coś jest nie w porządku.

Kiedy pracowała w szpitalu, stykała się z małymi pacjentami, którzy właśnie tak chodzili. Większość z nich cierpiała na wadę stawu biodrowego powodującą ból i wadliwy chód. Niektóre z tych dzieci przechodziły operację i ćwiczenia z fizjoterapeutą. Po zakończeniu kuracji noga funkcjonowała prawidłowo, ale nie zawsze.

Dziewczynka podeszła do płotu. Czyje to dziecko? - zastanawiała się Kate. Mała marszczyła brwi i patrzyła na nią surowo, więc Kate uśmiechnęła się, chcąc ją ośmielić.

- Cześć! - powiedziała.

Dziewczynka nie odpowiedziała, lecz zaczęła z wściekłością wykrzykiwać jakieś słowa, które brzmiały jak obcy język.

- No, no - odezwała się wesoło Kate, postanawiając nie ulegać wybuchom złego humoru. - Umiesz mówić po angielsku?

Mała wpatrywała się w nią piwnymi oczami, po czym odgarnęła z czoła burzę ciemnych loków.

- Idź stąd! - zawołała bez śladu obcego akcentu.

- Dlaczego? Psuję ci zabawę?

- Tak!

W tej chwili pojawił się Bazyli, który dotychczas chował się za Kate. Szczeknął głośno i przysiadł na tylnich łapach, patrząc władczo na dziecko. Dziewczynka zareagowała natychmiast. Powiedziała coś w swoim dziwnym języku, wyciągnęła rękę i pogłaskała psa po łbie.

- Jesteś bardzo odważna - zauważyła Kate. - To nierozsądne dotykać obcego psa. Mógł cię ugryźć.

Dziecko cofnęło rękę, odskakując od płotu.

- Wstrętny pies! - powiedziało gniewnie. - Idźcie sobie oboje!

Odwróciła się i przylgnęła całym ciałem do furtki, tak żeby Kate nie mogła jej otworzyć.

Bazyli zaskomlał żałośnie, jakby zrozumiał, że jest niepożądanym gościem. Przywarł do ziemi i wyglądał jak odprawiający pokutę niewolnik.

- Bazyli był kiedyś bardzo nieszczęśliwy - zwróciła się Kate do dziewczynki. - Myśli, że go nie lubisz.

Gniew małej znikł w jednej chwili, a ona sama upadła na trawnik i wybuchnęła płaczem. Kate precyzyjnie się przez furtkę i przykucnęła obok dziecka, którym wstrząsał szloch. Pogłaskała ciemne włosy dziewczynki w nadziei, że przyniesie jej to pociechę. Nie wiedziała, dlaczego mała rozpłakała się tak nagle, ale czuła instynktownie, że nie chodzi o psa. Nie, te łzy spowodowało coś innego. Szloch ustał na chwilę i dziewczynka podniosła głowę. Jej blada twarzyczka była umorusana i zalana łzami.

- Jak masz na imię? - zapytała Kate.

- Paula. A ty?

- Kathryn Wilhelmina Frinton - odparła uroczyście, podając małej chustkę do nosa. - Większość ludzi nazywa mnie Kate albo Katie. Na ogół nie przyznają się do Wilhelminy, bo by się ze mnie śmiali.

- Dlaczego? Uważam, że to ładne imię - orzekła mała i znów coś powiedziała w swym niezrozumiałym języku. Roześmiała się, widząc zdziwione spojrzenie Kate.

- Podoba ci się mój sekretny język?
- Brzmi cudownie, ale nic nie rozumiem, więc może teraz mi to powiesz po angielsku?

Paula przybrała tajemniczy wyraz twarzy.

- Układam historie, wiesz? - oznajmiła.
- I to była jedna z nich?
- Tak. O starej kobiecie, Maggie Flute, która każe dzieciom tańczyć, a sama gra na flecie.

i Urwała, patrząc badawczo na Kate, jakby chciała się upewnić, czy może jej ufać.

- Muszę używać specjalnego języka, bo to prawdziwa osoba - wyjaśniła szeptem.

Kim jest ta dziewczynka? Niewątpliwie natura obdarzyła ją wybitną inteligencją i bujną wyobraźnią. Jest także skryta, jakby musiała się chować przed światem.

Paula pociągnęła Kate za rękaw, prosząc, żeby jej opowiedziała coś o psie.

- Utknęliśmy na chwilę w lesie, bo Bazyli usiadł i nie chciał się ruszyć. Wiesz dlaczego?

- Nie. - Oczy Pauli rozszerzyły się ze zdumienia.
- Powiedz mi, proszę.

- Siedział przed norą i czekał, aż wyjdzie królik.
- I wyszedł?
- Nie. Ale biedny Bazyli był tak rozczarowany, że musiałam mu obiecać, że na pewno zobaczymy królika następnym razem.

- Chciał się z nim bawić?
- Eee.... tak. - Miała nadzieję, że dziewczynka nie dowie się, o co naprawdę psu chodziło.

Nagle Paula wstała i schwyciwszy spódnicę Kate, schowała się za nią.

- Idzie! Maggie Flute! Jest okropnie sroga, więc uważaj.

Szybkim krokiem zbliżała się ku nim szczupła kobieta w średnim wieku.

- Nie wiem, kim pani jest, ale jeśli nie zostawi pani dziecka w spokoju, zawiadomię policję - zawołała, gdy podeszła bliżej. - Nie wpuszczamy tu włóczęgów.

- Nie jestem włóczęgą - oznajmiła Kate.

- Doprawdy? Więc czemu pani tak wygląda? - zapytała kobieta, wskazując na sukienkę Kate, noszącą ślady przedzierania się przez zarośla. - I ten kundel!

- To nie żaden kundel, tylko czystej krwi chart.

W tej chwili z domu wybiegł jakiś człowiek i ruszył w ich stronę przez trawnik.

- Pani Bruton! Proszę przestać!

Ben! Rozpoznał ją z daleka.

- Ale ta pani bezprawnie tu wtargnęła. W dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym.

- Dziękuję pani za troskliwość - odparł - ale tym razem to zbyt wiele. To moja koleżanka, doktor Frinton.

Gdy przedstawił panią Bruton jako gospodynię, ta złągodniała i nawet zdobyła się na uśmiech. Paula pokuśtykała w stronę Bena. Objął ją, podniósł i pocałował, po czym spojrzał na Kate ze smutkiem w oczach.

- Co ty tu robisz, Katie?

- Przywiozłam wiadomość od Maurice'a dotyczącą jutrzejszych rozmów kwalifikacyjnych. Tu jest list.

- Dlaczego nie zadzwonił?

- Próbował, ale bez skutku. Powiedział, że masz popsuty telefon. Komórkowy też nie działa.

- Ach tak - mruknął, po czym zwrócił się do pani Bruton i poprosił, by przygotowała coś do zjedzenia.

- Och nie - zaprotestowała Kate - nie chciałabym przysparzać więcej kłopotu. Przekazałam wiadomość i wracam do domu, jeśli pozwolisz.

Ben jednak oświadczył stanowczo, że jej nie puści bez wypicia przynajmniej filiżanki herbaty.

- Zaraz wszystko przygotuję - obiecała pani Bruton. Pochyliła się i uściskała Paulę. - Idziesz ze mną, skarbie?

Dziewczynka uśmiechnęła się do niej jak do najlepszej przyjaciółki. Pani Bruton w niczym nie przypominała strasznej Maggie Fłute z opowiadania małej.

- Pójdę - oznajmiła Paula - jeśli będę mogła trzymać smycz Bazylego.

- Co pani na to, pani doktor?

- Bazyl jest bardzo łagodny - zapewniła ją Kate.

Mała ujęła smycz i spojrzała na Kate oczami pełnymi wdzięczności.

- Lubię cię - rzekła nieśmiało. - Ułożę o tobie historijkę.

- Dziękuję, kochanie. To będzie wspaniałe.

Patrzyła na Bazylego i Paulę idących w stronę domu. Dziewczynka i pies wyglądali na parę najlepszych przyjaciół.

- Czyje to dziecko? - spytała Kate Bena. - Sąsiadów? Chciałabym poznać jej rodziców.

Długo patrzył na nią, zanim odpowiedział:

- Paula jest moją córką.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zdumiona, patrzyła na niego bez słowa. Jakim sposobem Paula może być jego córką? Opowiedział jej, jak utonęła jego żona, ale nic nie wspomniał o dziewczynce. Nagle przypomniała sobie, że mówił coś o starszym mężczyźnie i o dziecku.

- To Paulę uratowałeś tego dnia, kiedy zginęła twoja żona, prawda?

Skinął głową w milczeniu. Kate ogarnął smutek z powodu cierpienia, jakiego Ben doświadczył tamtego tragicznego dnia i które z pewnością nie minęło. Nagle poczuła rozgoryczenie i złość, że jej nic o tym nie powiedział.

- Tak. Uratowałem swoją córkę - przyznał wreszcie ochrypłym głosem. - Była jeszcze mała. Urodziła się z uszkodzonym biodrem. Naturalnie była operowana. To dało pewną poprawę, ale niewystarczającą. Potem odkryliśmy, że pomagają ćwiczenia w wodzie. Kiedy zerwał się ten wiatr, uczyliśmy ją pływać.

Kate zobaczyła w jego oczach wyraz bezgranicznej męki. Jej złość minęła. Zniknęła również bezsensowna zazdrość, jaką odczuwała wobec wymagowanej kobiety w jego życiu. Tej pięknej, doskonałej istoty nie było. To Paula czekała co wieczór na powrót Bena.

Bolała ją jednak świadomość, że Ben nie ma do niej dość zaufania, by być z nią uczciwy.

- Czy Paula pamięta matkę? - zapytała.

- Myślę, że tak, bo ktoś podobny do Janice pojawia się w jej historyjkach. Od śmierci matki posługuje się wymyślonym językiem i ma napady złości. Mam nadzieję, że z czasem ustąpią.

- Miała coś takiego, kiedy z nią rozmawiałam. Ale, Ben, to nie są po prostu napady złości. Gniew Pauli jest prawdziwy. Myślę, że chowa się za tym swoim wymyślonym językiem, wyraża nim coś, co jest dla niej bardzo ważne. Gniew, strach, może samotność. Myśli, że gdybyś zrozumiał, co mówi, byłbyś nią rozczarowany.

- Co za nonsens! Ten język to tylko zabawa. Wszystkie dzieci lubią udawać.

- To prawda, ale to nie jest tylko zabawa, Ben. Dla niej ten język jest rzeczywisty - upierała się Kate.

- Chcesz mi powiedzieć, że ten bełkot wyraża jej myśli i uczucia?

- Tak, Ben. Dlaczego jej nie zachęcisz, żeby je wypowiedziała po angielsku? I pokaż jej, że choćby były nie wiem jak złe, nigdy nie będziesz się na nią gniewał.

- Gdy milczał, Kate poczuła, że jej gniew powraca.

- Na titość boską, dlaczego nie powiedziałeś mi o niej? Uważasz, że nie zrozumiałabym albo że oskarżyłabym cię o zaniedbywanie córki i zostawianie jej samej z gospodynią?

- Jak możesz tak mówić, Kate? To niesprawiedliwe i okrutne.

- Nigdy nie byłeś ze mną szczery, prawda? Żeby

ulżyć swemu sumieniu, powiedziałeś mi, jak umarła twoja żona, ale mówisz ważne rzeczy tylko wtedy, kiedy ci się podoba, Dlaczego nie miałeś do mnie na tyle zaufania, żeby mi opowiedzieć o córce? Wyobrażałeś sobie, że stracisz coś w moich oczach, bo Paula utyka? Czy chowasz ją, bo się jej wstydzisz?

Jego twarz zdradzała, że toczy z sobą walkę.

- Przepraszam, Kate, powinienem był ci powiedzieć. Ale nie wstydzę się się Pauli - dodał z gniewem.
- To straszne, że możesz nawet tak pomyśleć!

Odwrocił się i skierował w stronę domu, prosząc, by poszła z nim na obiecaną herbatę. Szła bez radości.

Filizanka herbaty okazała się całym podwieczorkiem - z kanapkami, ciastem wiśniowym i słodkimi ciasteczkami ze śmietaną i dżemem. Jedli w pokoju pełnym drobiazgów, które zdaniem Kate musiały należeć do Pauli.

Kolorowe muszelki leżały wśród piór egzotycznych ptaków. Na półeczce obok zegara stała kolekcja miniaturowych ozdób - część stanowiły domki i zwierzęta z koralu, podczas gdy na resztę składały się gipsowe figurki tancerzy i akrobatów skupione wokół maleńkiej katarynki.

- Jakie śliczne! - zawołała Kate, siadając przy okrągłym stole między Paulą a Benem. - Czy to ty, kochanie, zbierasz takie ładne rzeczy?

Dziewczynka skinęła głową. Sprawiała wrażenie zadowolonej, zwłaszcza że Bazyli obwąchał wszystko wokół i usiadł obok jej krzesła, najbliżej jak można.

- Chciałabym, żeby Bazyli był mój - oświadczyła.

- Na szczęście nie jest - odparł Ben poirytowany. Kate zobaczyła, że w oczach dziecka zabłysły łzy.

- Myślę, że Paula powinna mieć jakieś zwierzę - zauważyła. - Sprawia wrażenie bardzo samotnej.

- To kompletna bzdura! Ma przecież panią Braton do towarzystwa, prawda? A jako lekarka powinnaś zwać sobie sprawę, jakim zagrożeniem dla zdrowia ludzi są zwierzęta.

- Więc nie zgadzasz się z teorią, że głaskanie sierści zwierzęcia może znacznie obniżyć ciśnienie?

- Och, wiem, że niektórzy lekarze są tego zdania - rzucił niecierpliwie - ale to nie eliminuje ryzyka infekcji, prawda?

- Czy moglibyście porozmawiać o tym później? - przerwała pani Braton, wskazując wzrokiem Paulę, której oczy były pełne łez.

Kate natychmiast wyciągnęła do niej rękę, a mała uczepliła się ich niczym liny ratunkowej.

- Poproś tatusia, żeby cię do mnie przywiózł któregoś dnia. Pomożesz mi wyprowadzić Bazylego na spacer. To chyba nie naruszy twoich świętych zasad? - dodała, zwracając się do Bena.

Wzruszył ramionami.

- Jeżeli tego chcesz to dobrze, przywiozę ją. Kiedy masz zamiar rozpocząć tę... terapię?

- To zależy wyłącznie od ciebie.

Po podwieczorku Kate podziękowała pani Braton, wzięła smycz Bazylego i pocałowała Paulę w czoło.

- Podwiozę cię do samochodu - zaproponował Ben.

- Dziękuję, ale to zbyteczne.

- Nie. To odludzie. Poza tym fatygowałaś się tu z listem od Maurice'a, więc powinienem ci pomóc.

Następnego dnia Kate była pełna obaw co do nastroju Bena, on jednak zachowywał się uprzejmie. Kiedy przesłuchano wszystkich kandydatów, a następnie poproszono ich, by poczekał w korytarzu na wynik, Kate stwierdziła z przyjemnością, że się zgadza z decyzją Bena. Później z łagodnością, jakiej u niego dawno nie widziała, poprosił ją na bok i zaproponował, żeby poszli na herbatę przed jej wieczornym dyżurem w przychodni. Odmówiła.

- Szkoda - stwierdził. - Myślałem, że moglibyśmy jeszcze trochę porozmawiać.

- O czym? Myślałam, że wszystko powiedziałaś.

- Teraz twoja kolej, żeby mówić, a moja, żeby słuchać.

- Czego?

- Tego, co jest dla ciebie ważne. I dlaczego tak często ukrywasz swoje prawdziwe uczucia.

- Żałuję, ale nie mam czasu - oświadczyła, wiedząc, że nie powinna zostawać z nim sama.

- A wieczorem? Chętnie wypiję z tobą kawę.

- Boję się, że nic z tego - odparła i uciekła.

Po tej rozmowie nie widziała go przez pewien czas. Lato kończyło się, w powietrzu czuło się zapowiedź jesieni. Zdawała sobie sprawę, że to nie nawał zajęć sprawia, że nie widuje Bena. Ponownie jej unikał. Żałowała teraz, że tak go odtrąciła, jednak w jakiś perwersyjny sposób było jej miło, że już go nie obchodzi. Dało jej to możliwość spojrzenia z perspektywy na niego

i jego córkę. Nagle stało się coś, co zburzyło spokój jej ducha.

Pewnego wieczoru, wróciwszy wcześniej z poradni dla kobiet, gdzie było mniej pacjentek niż zazwyczaj, Kate postanowiła odpocząć i nie robić absolutnie nic po kolacji. Ale gdy zmywała naczynia, ktoś zadzwonił do drzwi. Było już ciemno, więc założyła łańcuch, zanim ostrożnie uchyliła drzwi i ze zdumieniem zobaczyła stojącego przed nimi Bena. Sprawiał wrażenie tak zdenerwowanego, że natychmiast go wpuściła.

- Co się stało? - zapytała bez tchu. - Myślałam, że jesteś w Rowans.

- Maurice mnie zastąpił. Stało się coś strasznego.

- Wypadek? Chcesz, żebym z tobą pojechała?

- Nie, nic w tym rodzaju. Przyszedłem zapytać, czy jest u ciebie Paula.

- Co? Oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby tu być?

- Bo zanim poszła spać, pytała panią Bruton, gdzie mieszkasz. Kiedy gospodyni zajrzała do niej później, okazało się, że mała zniknęła.

- To okropne!

- Tak - uciął krótko. - Pani Bruton zadzwoniła do mnie do przychodni, kiedy tylko zauważyła puste łóżko. Najpierw pomyślałem o tobie.

- Ależ Paula nie zdołałaby sama tu dojść! I dlaczego miałyby to zrobić?

- Z powodu twojego przekłętą psa - sarknęła. - Ciągłe o nim mówi i pyta, kiedy pójdziecie z nim na spacer. Podobno nawet widziała go w ogrodzie. Czy myślisz, że mógł się wymknąć i trafić do mojego domu?

- Oczywiście, że nie! To śmieszne!
- Więc czemu mówi, że go widziała?
- Wymyśliła to sobie.
- Nigdy ci nie uciekł? - zapytał ostro.
- Nie!

- Skąd ta pewność?

- Bo kiedy go nie ma ze mną w samochodzie, śpi w swoim koszu w salonie.

- A teraz? Możesz przysiąc, że jest na swoim miejscu?

- Oczywiście! - odparła z narastającą furją. - Chodź i zobacz, jeśli mi nie wierzysz.

Ben spojrział na szczyt schodów i uśmiechnął się smętnie.

- Nie muszę. Popatrz!

Bazyli zszedł z godnością po schodach, potem usiadł i swoim zwyczajem szczerknął.

- Przepraszam, że ci nie ufałem.
- Nie szkodzi. Czy Paula jeszcze coś mówiła?
- Tylko że chce go zobaczyć i wie, gdzie go znaleźć.

Czy przychodzi ci coś do głowy?

- Nie. Chyba że....

Zawahała się, widząc błysk nadziei w jego oczach. To, co chciała powiedzieć, mogło się skończyć rozczarowaniem.

- Mów - poprosił zdenerwowany.

- To może nic nie znaczyć, Ben, ale kiedy poznałam Paulę, poprosiła mnie o jakąś historię o Bazylim. Więc jej opowiedziałam, jak szliśmy przez las i jak on usiadł przed króliczą norą i czekał.

- Chodź! Zараż tam pojedziemy. Weźmiemy Bazy-

lego i jeśli będzie trzeba, odegramy ponownie tę scenę. Mam silną latarkę, nie zgubimy się.

Kate uważała, że to szaleństwo, ale nie śmiała protestować. Założyła Bazylemu smycz i usiadła na przednim siedzeniu z psem u stóp.

Księżyc świecił jasno, promienie światła przenikały nawet do najgłębszej części lasu i Kate szła przodem, nie musząc korzystać z latarki Bena. Kiedy dotarli do króliczej nory, Bazyli ponownie usiadł przed nią i nie dał się ruszyć. Ben popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- To tutaj? - zapytał.

- Tak, jestem pewna. Ale nie wiem, w czym by to miało pomóc...

Nagle Ben uniósł dłoń.

- Słuchaj! - szepnął. - Słyszysz?

- To wiatr - odparła.

Po chwili usłyszała jeszcze coś: trzaskanie gałązek, coraz głośniejsze, jakby ktoś się zbliżał. Nagle ogarnął ją lęk i chwyciła Bena za ramię. Bazyli zaczął szczeekać. Ben zapalił latarkę i Kate dostrzegła białą postać.

- Co to jest, na Boga? - zapytała przestraszona.

Ben zaśmiał się cicho.

- Myślę, że to ktoś w koszuli nocnej.

W chwilę później usłyszeli głos Pauli.

- Tatusiu, tatusiu! - zawołała, rzucając się ojcu na szyję.

- Kochanie - powiedział, głaszcząc jej ciemne loki.

- Czy możesz nam powiedzieć, co tu robisz?

- Szukam Bazylego, oczywiście - odparła, usiłując się wyswobodzić z ojcowskich objęć i podejść do psa,

który piszczał, szarpiąc się na smyczy. - Wiedziałam, że go znajdę, jeśli dobrze poszukam.

Gdy Ben ją puścił, Paula podeszła do Kate i pocałowała ją nieśmiało.

- Dziękuję, że go przyprowadziłaś.

Uklękła i objęła psa, który polizał delikatnie jej policzek. Przeżrana Kate szarpnęła za smycz i ostro skarciła Bazylego. Ale Ben roześmiał się cicho.

- Nie martw się, Katie. Wolę widzieć Paulę zadowoloną niż zapłakaną.

- A zarazki? - zapytała Kate, zdziwiona tą nagłą zmianą stanowiska.

- Może umyć twarz, prawda? - rzekł z uśmiechem. Wziął Paulę na ręce i skierował się w stronę polany. Widząc, że Kate i Bazyli pozostają z tyłu, przystanął.

- Nie idziesz z nami? - zapytał.

- Nie chciałabym przeszkadzać. Mam wrażenie, że jesteście zupełnie szczęśliwi we dwoje.

- Nonsens, Katie - odparł cicho.

Postawił Paulę na ziemi i poprosił, by poszła do domu i zawiadomiła panią Bruton, że wszystko jest w porządku. Potem zwrócił się do Kate:

- Nigdy nie będziemy szczęśliwi bez ciebie.

- Co masz na myśli?

- Nie mogłabyś zgadnąć?

Patrzyła na niego w blasku księżyca. W jego oczach widziała tysiące uczuć.

- Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz? - zapytała cicho.

- Tak, Katie. Długo walczyłem z tym uczuciem. Wi-

dzisz, uważałem, że nie mogę oczekiwać, żeby jakakolwiek kobieta zgodziła się związać ze mną, dopóki będę się czuł winny śmierci Janice. - Urwał, w jego oczach pojawił się cień. - Poza tym wiedziałem, że nie mógłbym dzielić Pauli z kimś, kto nie potrafiłby zrozumieć, przez co to dziecko przeszło - dodał. - Tak było, dopóki nie zobaczyłem, jak bardzo cię lubi. I ile masz dla niej cierpliwości. Przegrałem te bitwę i nie chcę już dalej walczyć.

- Ale myślałam...

- Że to zainteresowanie tylko fizyczne?

Skinęła smutnie głową.

- Chodź, kochanie - szepnął. - Pozwól, że cię obejmę i powiem ci, jak się czułem od chwili, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, jak starałem się nie zauważać miłości, która mną owładnęła, kiedy spojrzałaś na mnie tymi swoimi zielonymi oczami.

Puściła smycz i Bazyli pobiegł za Paulą.

- Jest bardzo dużo rzeczy, których o mnie nie wiesz, Ben - powiedziała, patrząc na jego twarz oświetloną światłem księżyca. - To smutne sprawy i nie mówiłam ci o nich, choć wiedziałam, że to nieuczciwe, skoro z twojej strony oczekiwałam otwartości,

- Myślisz, że tego nie wiem, Katie? Widziałem twoją wewnętrzną walkę i wiele razy chciałem cię poprosić, żebyś mi o niej opowiedziała. Ale skoro chcesz zatrzymać to dla siebie, uszanuję twoją decyzję.

- Nie, Ben. Nie chcę więcej tajemnic.

Przywołała wszystkie bolesne wspomnienia dotyczące Davida i wreszcie wypowiedziała je na głos. Czując

wsparcie płynące z serca Bena, opowiedziała mu, jak David zawsze starał się ją zdominować, jak mu uległa dla ratowania spokoju, i jak wreszcie zrozumiała, że jego obsesją jest władza - nie miłość.

- Więc jak to się skończyło, Katie? - zapytał cicho. Westchnęła głęboko.

- Odkrył, że nie chcę być jego niewolnicą. Śmiesznie to brzmi, prawda? Ale tego pragnął: niewolnicy. Kiedy się sprzeciwiłam, pobił mnie. Naprawdę. Wykorzystał swoją siłę przeciwko mojej słabości.

- Kochanie - szepnął Ben, dotykając ustami jej policzka. - Pozwól, że pomogę ci zapomnieć o tej udręce, jak ja zapomniałem o swojej.

- Jakie to dziwne... Przeszłość nagle przestaje być ważna. Zacząłeś mnie leczyć, Ben. Jesteś takim dobrym lekarzem. Chciałabym teraz przestać o tym mówić, bo pryśnie czar tego cudownego miejsca.

Widziała w świetle księżycy jego błyszczące oczy. Kiedy ją objął, a ich usta się spotkały, poczuła, jak płonie.

- Zostań moją żoną, Kate - szepnął. - Jeśli odmówisz, stanę się zgorzkniałym starcem.

- Nie dopuszczę do tego - odparła z uśmiechem.

- To znaczy tak?

- Tak - szepnęła.

Nagle dobiegł ich głos pani Bruton:

- A więc znalazł pan wreszcie Paulę! Nie przyszło mi do głowy szukać jej w lesie. Dzięki Bogu, że pan o tym pomyślał.

Ben wypuścił Kate z objęć. Gospodyni podeszła do

nich, prowadząc za rękę Paulę i trzymając jednocześnie smycz Bazylego. Uśmiechała się i w świetle księżyca wyglądała na wręcz rozanieloną.

- Miło panią znów zobaczyć, pani doktor - oświadczyła, oddając Kate smycz. - Czy chciałaby pani napić się czegoś gorącego, zanim wróci pani do domu?

- Z rozkoszą - odparła Kate.

- Doktor Frinton niedługo przeniesie się tu na stałe - wtrącił Ben. - Widzi pani, pobieramy się.

- To wspaniale, panie doktorze! - zawołała gospodyni i odeszła w stronę domu, a Paula stała, wpatrując się w nich oboje. Gdy Kate zaczęła się niepokoić, dziewczynka uśmiechnęła się, objęła ją i uściskała.

- Czy Bazyli będzie z nami mieszkał? - zapytała.

- Oczywiście, skarbie - zapewnił ją Ben.

Ujął smycz i objąwszy Kate, pomógł Pauli poprowadzić psa do domu. Potem Bazyli usiadł przy jednym z okien, uniósł łeb i swoim zwyczajem szczechnął.

Jakby tu zawsze mieszkał, pomyślała Kate i uśmiechnęła się radośnie.